



BIBLIOTEKA
DIA
MŁODZIEŻY

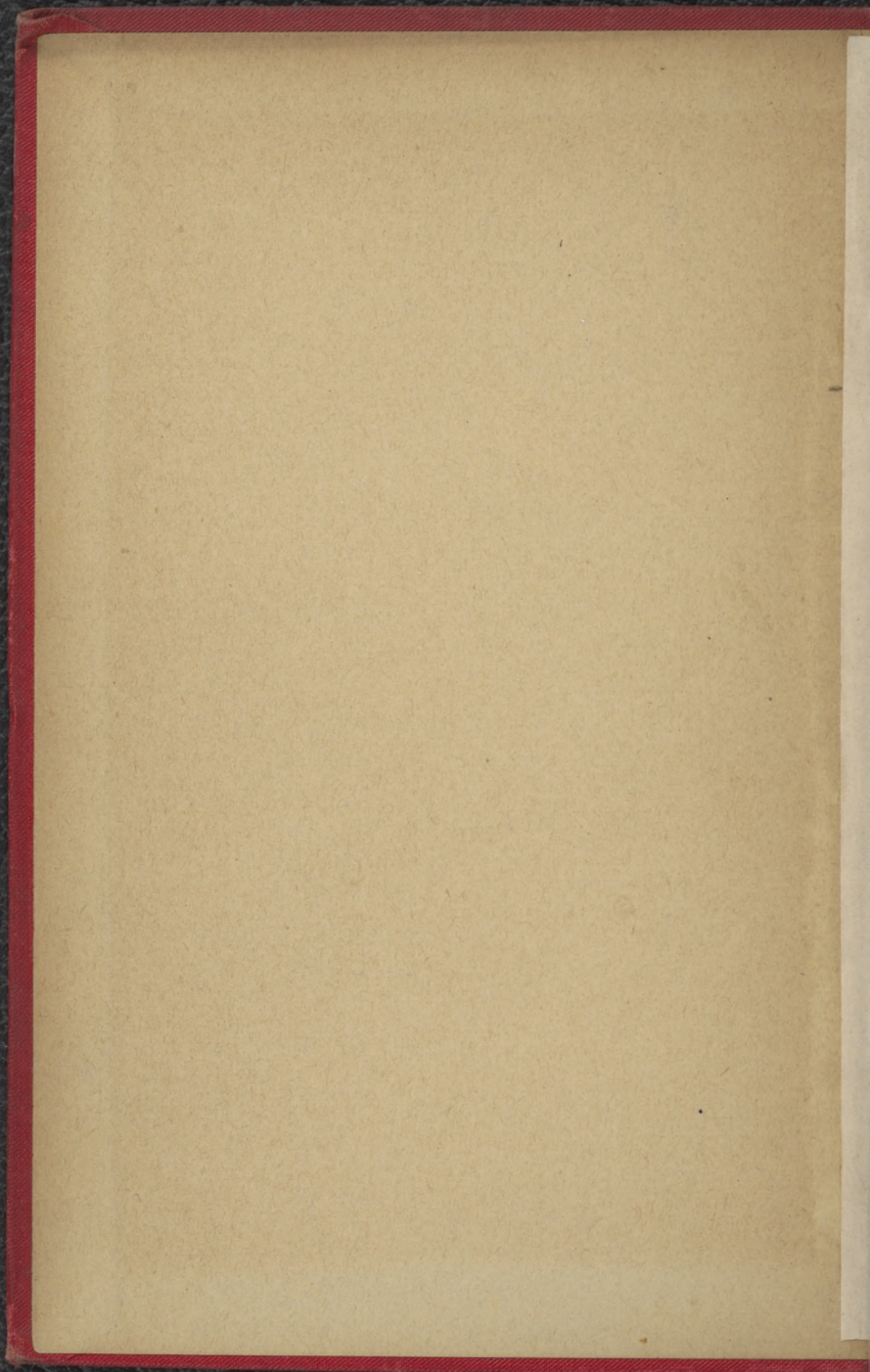


Morawska.

Nasi Znajomi



GEBETHNER I WOLFF



I 2,071.158

57553



NASI ZNAJOMI

1875

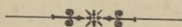
1875-1876





— Boże mój, dobry Boże! — wołała, wyciągając dłonie ku niebu.

NASI ZNAJOMI

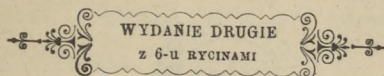


DWANAŚCIE POWIASTEK

DLA DZIECI OD LAT OŚMIU

PRZEZ

Z. Morawską



WARSZAWA

Nakład Gebethnera i Wolffa

—
1895

57553

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001083841

Дозволено Цензурою.

Варшава, 12 Іюня 1894 года.



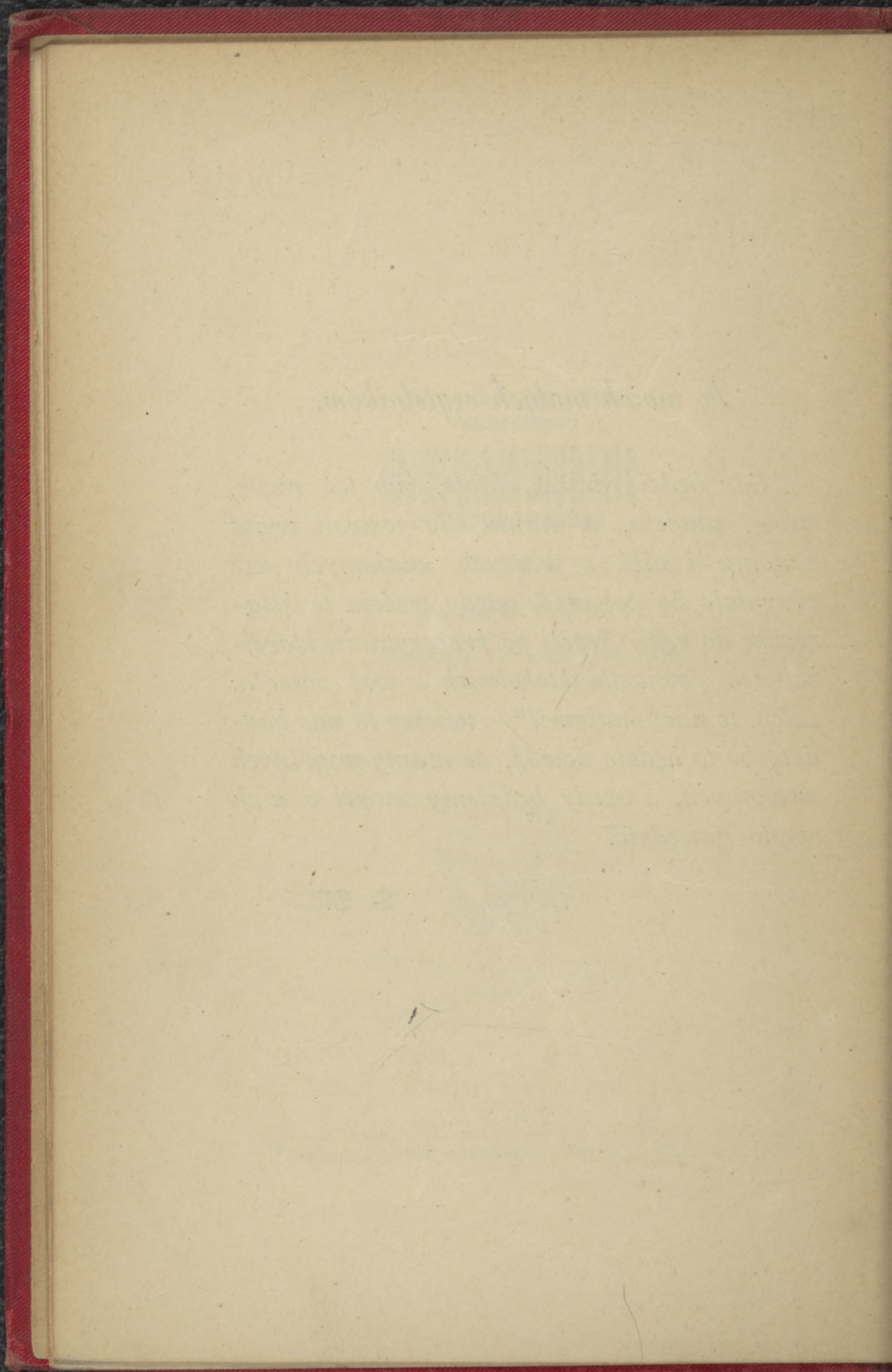
I 2.071.158



Warszawa.—Druk Stanisława Niemiery, Plac Warecki 4.

Do moich małych czytelników.

Gdy będzie deszcz, błoto, lub też mróz, śnieg, zawieja, a mama nie pozwoli wyjść z domu i nikt z waszych znajomych nie przyjdzie się pobawić, wtedy weźcie tę książeczkę do ręki. Jeżeli po przeczytaniu którejkolwiek powiastki ktokolwiek z was zawoła: „Ach, to nasi znajomi!“ — ucieszy to nas bardzo, bo to będzie dowód, że mamy wspólnych znajomych, a wtedy będziemy mogli o nich często gawędzić.



I.

Nowy Rok.

Różia i Helenka, dwie siostry, chodziły na pensję i obiedwie doskonale się uczyły.

Jednakże przed Bożem Narodzeniem bardziej jeszcze pracowały, pragnąc przy egzaminie kwartalnym jak najlepiej odpowiadać i jak najlepsze otrzymać cenzury.

To też powróciwszy z pensyi, nie odpoczywały, tylko zaraz po obiedzie zasiadały do nauki. Że zaś zwykle uczyły się przy jednym stole, aby więc jedna drugiej nie przeszkadzała, zatykały sobie uszy i dopiero wtedy głośno powtarzały lekcye.

Różia czytała żywo; zaledwie kilka minut przeglądała geografię, spojrziała raz i drugi na mapę, zaraz ją odkładała, biorąc gramatykę. I znów ją przejrzała, a odłożywszy, brała się do arytmetyki. Przytem oczki jej czarne nadzwyczaj szybko biegały, i znać było, że zaledwie przeczyta lekcye, zaraz ją rozumie.

Biorąc tak jedną książkę po drugiej, przeglądając kajet po kajecie, złożyła wkońcu wszystkie kajety, schowała je do teki, a zostawiając książki na stole, rzekła:

— No, to już! wszystko doskonale pamiętam; nie wiem tylko, gdzie jest katechizm? Ach, to ty go masz jeszcze! — rzekła, zwracając się do siostry.

— Zaraz, zaraz! zatrzymaj się trochę; zaraz ci go oddam — odrzekła Helenka, nie podnosząc oczu od książki, i poczytawszy jeszcze przez chwilkę, rzekła, oddając książkę siostrze: — No, dzięki Bogu! umiem już jedną lekcję!

— Co? dopiero jedną? — zawołała Różia. — Ja już wszystkie umiem doskonale. Zobaczysz, piątka napewno! — i klasnęła w ręce radośnie.

— Ach, jakaś ty szczęśliwa! — rzekła Helenka, zwracając na siostrę łagodne swe spojrzenie — zaledwie otworzysz książkę, spojrzysz raz i drugi, już umiesz; a ja to muszę się uczyć i uczyć bez końca...

— O to prawda! — odparła Różia z pewną dumą — pamięć mam doskonałą! Raz, dwa, trzy, i już umiem!

I nie tracąc czasu, obiedwie dziewczynki znów wzięły się do nauki, zatknawszy jak poprzednio uszy, z tą tylko różnicą, że Różia zaledwie rozpoczęła czytać, zaraz podnosiła główkę, przymykała oczy i powtarzała na pamięć, kiedy tymczasem Helenka czytała powoli, czę-

sto zastanawiała się nad tem co przeczytała, potem znów czytała, zaglądała do kajetu leżącego obok i dopiero usiłowała powtórzyć na pamięć. Po chwili Rózia złożyła książkę, wołając:

— To już! to już!

I wskoczywszy na krzeselko, zeskoczyła z niego z radością; potem zaś uchwyciwszy krzesło za poręcz, z wielkim hałasem okręciła niem dokoła.

— Co też ty robisz, Róziu! — zawołała Helenka.

— Co? co ja robię? a no, cieszę się, zem już skończyła lekcję. Kończ oto i ty prędeż, już siódma, zaraz dadzą herbatę, a potem jeszcze się trochę pobawimy.

— Czyś ty już francuskie i niemieckie lekcye powtórzyła? — zapytała Helenka.

— Rozumie się: wszystkie, wszyściutkie! Także! francuskie i niemieckie! wielka awantura! Wiesz przecie, że ze wszystkich koleżanek mówimy najlepiej i po francusku i po niemiecku! Takie tam jakieś tłumaczenie i wiersze, trochę gramatyki, cóż to znaczy? — i na znak lekceważenia Rózia wzruszyła ramionami.

— Kiedy już umiesz, to siedź spokojnie i nie przeszkadzaj mi — rzekła Helenka. — Ja mam jeszcze dużo do roboty.

— Ani myślę! — rzekła Rózia, i wskoczywszy na krzeselko, na którym siedziała He-

lenka, pochyliła się nad nią, zajrzała siostrze w oczy, a pocałowałwszy ją w obadwa policzki, rzekła:

— To ty sobie siedź, marudo, a ja ani myślę!

— Ach, co robisz! — rzekła z pewnem zniecierpliwieniem Helenka.

— Co ja robię? nic nie robię, mam ochotę bawić się i dokazywać! — i zeskoczywszy z krzesła, zaczęła kręcić się po pokoju, wołając: „Balon! balon! balon!“ — a przysiadłszy na ziemi, oglądała się, czy rzeczywiście jej sukienka dosyć jest wydepta.

— Helenko, spójrz przecie, patrz, co za prześliczny balon! — wołała.

— Moja Róziu, nie przeszkadzaj, proszę cię! — rzekła Helenka, odkładając książkę i biorąc inną.

— Kłaniam uniżenie, nie mam z tobą nic do roboty. Ciekawa jestem, poco miałabym siedzieć? Wszystko już umiem! Oho, bo ja mam doskonałą pamięć! ho, ho, i nielada zdolności! Wszyscy mi to mówią, i ja sama wiem doskonale.

To mówiąc, trzasnęła drzwiami i wybiegła z pokoju.

Helenka tymczasem, usłyszawszy przechwałkę Rózi, westchnęła tylko i kiwnąwszy główką, rzekła nawpół do siebie:

— Ach, to prawda, to prawda, jej bez pracy piątki przychodzą, a ja muszę się mozolić. Ale i ja muszę mieć dobre stopnie.

I odsunąwszy znów książkę, wzięła kajet.

W drugim pokoju tymczasem słyhać było głośny śmiech Rózi, szczekanie ulubionego pieska i bieganie. Rózia zabawiała się jak mogła, goniąc małego Azorka i wyszczerzając na niego ząbki, co go do niecierpliwości doprowadziło.

Po chwili matka weszła.

— No i cóż, moja córeczka jeszcze pracuje?— zapytała, stojąc przy stoliku.

— I nieprędko skończę — rzekła Helenka, podnosząc ku matce oczy.

— Wkrótce dadzą herbatę; trzeba, żebyś się pośpieszyła — mówiła matka, gładząc włosy dziewczęcia.

— Moja matuniu, ja jeszcze i po herbacie będę musiała się uczyć.

— Bardzo dobrze, moja córko, żeś taka pilna, ale nie chciałabym, żebyś się zanadto męczyła.

— E! nic mi nie będzie! — odparła, uśmiechając się, Helenka — a przecież, moja matusiu, nie mogę pozwolić, żeby Rózia miała lepsze stopnie ode mnie. I ta Rózia o rok młodsza, a jest razem ze mną w drugiej klasie! Ach, co jabym za to dała, żebyś miała jej pamięć! Z pewnością byłabym już w trzeciej klasie! Prawda, matuniu? Ach, matuniu! matuniu! czemu ja też to nie mam takich jak Rózia zdolności! mnie tak przykro, że ona w jednej ze mną klasie! — dodała dziewczynka, całując matkę w rękę.

— Wstydź się, moja córko, tak biadać nad tem; to tak zupełnie, jakbyś zazdrościła siostrze — rzekła matka surowo.

Helenka zarumieniła się i oczy spuściła.

— Bo... bo... widzi matusia, jabym także chciała mieć takie zdolności. A mnie tak trudno nauka przychodzi...

— Prawda, że trudniej, niżeli Rózi, która rzeczywiście ma ogromne zdolności, ale i tobie ich Pan Bóg nie odmówił. Nie trzeba więc, moje dziecko, nad tem rozpaczać, ani też siostrze zazdrościć. Trzeba zawsze być zadowoloną z tego, co mamy; gdybyś miała zdolności Rózi, a spotkała dziewczynkę, któraby jeszcze miała większe zdolności, tobyś znów tamtej zazdrościła i nigdy nie byłabyś zadowoloną. I tak, chociaż więcej popracujesz, to uczysz się dobrze, nabywasz wiadomości, zyskujesz sobie pochwałę nauczycieli, a nam przynosisz pociechę. Tak więc, moja córeczko, nie martw się, a tembardziej nie zazdrość, to niezadługo się nauczysz i przybiegniesz do nas, i odpoczniesz, i zabawisz się.

To mówiąc, dobra mama pocałowała Helenkę i wyszła z pokoju.

Jednakże, mimo słów matki, Helenka po przejrzeniu każdej lekcji wzdychała serdecznie, mówiąc półgłosem:

— Ach, jaka ta Rózia szczęśliwa! czemu ja nie mam takich zdolności!...

We dwa tygodnie potem, przełożona pensyi oddawała wszystkim uczennicom cenzury, to jest

książeczki, w których zapisano postępy, jakie panienki uczyły w ubiegłym kwartale.

Oddając cenzurę Helence i Rózi, przełożona rzekła:

— Obiedwie te siostry niech służą za wzór wszystkim panienkom: doskonale się uczą, są grzeczne, uprzejme i najlepsze mają cenzury.

Potem rzekła, zwracając się do Helenki:

— Bądź zawsze tak dobrą, pracowitą i uprzejmą, a będziesz przez wszystkich kochaną. — A ciszej dodała: — Tylko siostrze nie zazdrość zdolności.

Rózi zaś powiedziała:

— Dziękuj Bogu za swoje zdolności, nie ogładaj się jednakże na nie, pracuj, a będziesz zawsze dobrą i miłą uczennicą. — I znów ciszej dodała: — Tylko nie przechwalaj się zdolnościami.

Helenka i Rózia podziękowały przełożonej, a potem każda ciekawie przeglądała swoją cenzurę, rumieniąc się z radości.

— Pokaż mi swoją cenzurę — rzekła Rózia do siostry.

I nie czekając pozwolenia, zaczęła czytać trzymaną jeszcze przez Helenkę cenzurę. Przy czytaniu twarzyczka Rózi nabierała jakiegoś pogardliwego wyrazu, usta jej się wyduły, a główkę w górę wznosiła.

— Przeczytaj moją! — rzekła i z pewnym tryumfem podała siostrze cenzurę.



Helenka, której twarzyczka dotąd jaśniała radością, czytając stopnie Rózi, powoli bladła, a oddając siostrze cenzurę, rzekła:

— Wiedziałam o tem, że będzie lepsza od mojej. Nic dziwnego, kto ma takie zdolności!

I nic już nie mówiąc, zabrała tekę z książkami i wybiegła do przedpokoju, a za nią tryumfująca i uradowana Rózia. Helenka, milcząc, wkładała salopkę i żegnała się z koleżankami, z którymi dopiero po świętach miała się zobaczyć. Rózia wesoła, szczebiotliwa, zwracała się do każdej z zapytaniem:

— Czytałaś moją cenzurę?

— Ależ czytałam — odrzekła jej któraś — nic dziwnego, że dobra: ty masz takie zdolności!

— A ty, Helenko, pokaż mi swoją! — rzekła inna dziewczynka.

— Ech, cóż tam moja! moja to nic w porównaniu z Rózi cenzurą — odrzekła Helenka, zamykając tekę.

— Do widzenia! do widzenia! — wołały dziewczynki.

— Wesołych świąt!

— Nawzajem! — wołały dziewczynki, i każda w swoją pośpieszyła drogę.

— Mamuniu! mamuniu! niech tylko mamunia posłucha — wołała Rózia, wbiegając do pokoju. I nie zdejmując kapelusza, ani salopki, pod-

niósłszy tylko główkę do góry i wystawiwszy naprzód prawą nóżkę, z dumą czytała:

„Panna Rozalia, uczennica klasy drugiej, „przy zdolnościach wielkich, sprawowaniu wzorowem, pilności wielkiej, w ubiegłym kwartale „uczyniła postępy następujące: w religii i moralności celujący; w języku polskim celujący; „rosyjskim celujący; francuskim celujący; niemieckim celujący; geografii celujący; arytmetyce celujący; kaligrafii celujący; rysunkach „celujący; robotach celujący.“

— Niechże cię uściskam, kochana moja córeczko! — rzekła matka z prawdziwą radością.

I dobra mama ucałowała Rózię serdecznie.

— Jak się też to ojciec ucieszy, a dzisiaj właśnie powróci! — dodała matka, przeglądając Rózi cenzurę.

— A ty, Helenko, jakaż twoja cenzura? — zapytała wchodzącej starszej córki.

Helenka, która tymczasem zdjęła w swoim pokoju salopkę, nieśmiało podała matce cenzurę.

— Czemuż mi jej sama nie przeczytasz? — zapytała matka.

— Bo... bo... widzi mama, moja cenzura nie taka dobra, jak Rózi.

— Ha, cóż robić! — rzekła matka.

Helenka zarumieniła się, łzy stanęły jej w oczach, a schyliwszy się, pocałowała matkę w rękę, mówiąc z pokorą:

— Moja matuniu, starałam się, jak mogłam.

— Wierzę, moje dziecko, ale chciałabym wiedzieć, jakieś uczyniła postępy. Helenka otworzyła książeczkę i drżącym głosem poczęła:

„Panna Helena, uczennica klasy drugiej, „przy zdolnościach miernych, pilności wielkiej, „sprawowaniu wzorowem, w ubiegłym kwartale „uczyniła następujące postępy: w religii i moralności bardzo dobry; w języku polskim bardzo dobry; rosyjskim dobry; francuskim bardzo dobry; niemieckim bardzo dobry; arytmetyce dobry; geografii dobry; kaligrafii bardzo „dobry.“

Różia tymczasem uradowana zdjęła z siebie tekę, kapelusz i salopkę, rzuciła to wszystko w mamy pokój, a wzięwszy swoją cenzurę, czytała półgłosem raz jeszcze.

Gdy Helenka mówiła: „*z języka polskiego: bardzo dobry,*“ ona dodawała: a u mnie celujący! I tak aż do końca. Wreszcie nie dając przyjąć do słowa drżącej i prawie rozplakanej Helence, rzekła:

— U mnie to możnaby tak czytać: z religii, języka polskiego, rosyjskiego, francuskiego, niemieckiego, geografii, arytmetyki, kaligrafii, rysunków, robót i dopiero na końcu dodać: celujący. Wszystkie celujące! ach, jak to przyjemnie! prawda mamo? — rzekła, stając z drugiej strony matki, kiedy tymczasem Helenka, pochyliwszy się na kolana matki, na dobre się rozplakała.

— Prawda, moja Róziu — rzekła matka, tu-
ląc rozplakaną Helenkę. — Bardzo pożytecznie
dla ciebie, a dla nas przyjemnie, że masz wszyst-
kie stopnie celujące, a to mnie bardzo martwi,
że się zbytecznie z tego przechwalasz i robisz
przykrość siostrze.

— Ach, moja mamuniu — rzekła zawstydzona
cokolwiek Rózia — ja nie chcę Helence ro-
bić przykrości, ale ja się tak cieszę ze swojej
cenzury!

— Ciesz się, i owszem, tylko nie przechwalaj;
a ty, Helenko, nie masz czego martwić się i płakać.
Twoja cenzura jest bardzo dobra, i daj
Boże, żebyś zawsze takie czyniła postępy.

Rózia spojrzała tylko na siostrę i pośpie-
wując sobie, zaczęła skakać po pokoju.

Wtem nadjechał ojciec. Dziewczynki bardzo
się uradowały z jego powrotu, pokazały cenzury,
a ojciec ucieszył się z ich postępów w nauce.

Przy obiedzie zaś oboje z matką uradzili,
że skoro dziewczynki tak się dobrze uczą,
trzeba im też zrobić przyjemność. Umyślili więc
w wigilię Nowego Roku zaprosić kilku chłopczy-
ków i kilka dziewczynek, a żeby dzieci potań-
czyły i ubawiły się dowoli.

Obiedwie dziewczynki bardzo się ucieszyły
z tej obietnicy, każda zaś w skrytości przygo-
towywała na Nowy Rok dla rodziców jakieś
powinśzowanie.

— Pokaż mi swoje powinszowanie — prosiła Rózi Helenka.

— Ja żadnego jeszcze nie napisałam — odparła Rózia.

— Czy wcale nie napiszesz?

— Nie wiem jeszcze — odrzekła Rózia, chowając skrzętnie zapisany papier do stolika i zamykając go na klucz.

— Co ty piszesz? — zapytała na drugi dzień Rózia.

— Powinszowanie dla rodziców — odparła Helenka.

— Ja tam ani myślę! — rzekła lekceważąco Rózia. — Ja tak stanę i odrazu powiem powinszowanie. Ktoby mi kazał suszyć sobie głowę! cóż to trudnego! powinszowanie! hm!

I uśmiechała się złośliwie.

— Ja wolę napisać — odparła Helenka.

— A pisz sobie! ja nie napiszę.

Mimo tych sprzeczek, Helenka i Rózia kochały się nawzajem, bo obiedwie były dobre dziewczynki, tylko Rózia miała tę wadę, że lubiła przechwalać się ze swoich zdolności, Helenka zaś zazdrościła ich siostrze. Helenka, nie wpytując się już dalej, napisała powinszowanie, obiecując sobie, że oprócz tego, co napisała, powie jeszcze rodzicom wiele pięknych rzeczy, przedewszystkiem zaś, że ich bardzo kocha.

Uspokoiwszy się tak z powinszowaniem, cieszyła się owym obiecany balikiem, a obiedwie siostry codzień dni rachowały.

— Za cztery dni wigilia Nowego Roku! —
rachowała Helenka.

— Już tylko trzy dni! — mówiła na drugi
dzień Rózia.

— Ach, to już pojutrze będzie nasz balik! —
rzekły nareszcie obiedwie, i wzięwszy się za
ręce, skakały, wołając:

— Pojutrze, pojutrze doskonale się wytań-
czymy!

Nareszcie nadeszła wigilia Nowego Roku.
Helenka i Rózia od rana pomagały matce
w przygotowaniach do przyjęcia gości. O go-
dzinie szóstej, dziewczynki, ubrane w białe su-
kienki, oczekiwały swych gości.

Przed siódmą przybył zamówiony grajek,
przybyli i goście, brakowało tylko jednego
chłopczyka Józia, którego wszyscy bardzo lu-
bili, bo doskonałym był tancerzem.

Trudno jednak było czekać; zaczęły więc
dzieci tańczyć, a wtem posłaniec przyniósł kar-
teczkę z doniesieniem, że Józio w żaden spo-
sób przyjść nie może. Dzieci zmartwiły się, ale
zaczęto grać polkę i wśród ohochozej zabawy
zapomniano o towarzyszu.

Przed jedenastą dzieci już były bardzo zme-
czone, wzięwszy się więc parami pod ręce, cho-
dziły po pokoju, zjadając cukierki. Wtem ktoś
bardzo gwałtownie kilka razy zadzwonił do
przedpokoju, tak, że wszystkie dzieci, a nawet
starsi, mimowoli obejrzeli się, co znaczy to
gwałtowne i bezustanne dzwonicie.

Pan domu zaniepokojony otworzył drzwi, a w progu ukazał się staruszek z wielką siwą brodą i wąsami, mocno zgarbiony, okryty szarym płaszczem. Podpierał się kijem, a na głowie zamiast czapki miał wielką banię z ciemnego papieru.

— Proszę o gościnę—zaczął drżącym głosem.

— Józio! Józio! — poczęły dzieci wołać radośnie, bo pomimo siwej brody, zakrywającej dolną część twarzy, i długich siwych włosów, spadających na czoło, można go było poznać po głosie i żywych ciemnych oczach.

— Jam Rok Stary! niezadługo życie zakończę! przyszedłem się z wami pożegnać — rzekł Józio, nie chcąc się dać poznać.

— Pójdź, pójdź, Stary Roku! — zawołała Helenka, ujmując go pod rękę — ale cię tak prędko nie wypuścimy.

— Ale co to jest? — pytała Helenka, dotykając wielkiej bani, którą niósł Józio na głowie.

— O! ja wiem — ozwała się Różia: — to pewno Stary Rok wszystkie dni w tę banię zbierał, a jest ich aż trzysta sześćdziesiąt pięć.

— Oho, jak to panienska chce odrazu wszystko zgadnąć! — mówił Stary Rok, chwielec banią na głowie. — No, niech panienska zobaczy, a jak odkryje, w którym miejscu bania się otwiera, to Rok Stary powie paniencie, że bardzo dowcipna!

I to mówiąc, trząsnął głową, a bania spadła mu na plecy, tworząc garb ogromny.

— Wielkie mi rzeczy! — rzekła Różia ze zwykłą sobie zarozumiałością.

I zaczęła na wszystkie strony banię dotykać i oglądać. Wkrótce jednak z niechęcią odstąpiła, mówiąc:

— Ech, to jakaś dziwna bania! lepiej chodźmy tańczyć... wcale się nie otwiera.

— Aha, nie udało ci się! — szepnęła Helenka, a po twarzyćce jej przebiegł uśmiech zadowolenia.

Matka, stojąca obok, ze smutkiem spojrzała na córki, a śmiech ogólny zagłuszył ich rozmowę. Rok Stary tymczasem, zarzuciwszy banię na głowę, zaczął się przechadzać, a dzieci za nim, wołając:

— Stary Roku, może z nami potańczysz?

— Gdzie mnie tam do tańca! moja ostatnia godzina niezadługo wybije, patrzcie! — rzekł, wskazując zegar.

Dzieci podbiegły do zegara, a Rok Stary za nimi, podpierając się kosturkiem.

Wtem zegar syknął i zaczął poważnie północ wydzwaniać.

Rok Stary zatrząsł się, zrzucił z siebie płaszcz, i zamiast starego dziada ukazał się zgrabny chłopiec, biało i niebiesko ubrany. Zniknęły siwe włosy i broda, a owa bania rozpadła się na dwie części, spadając na ramiona jak skrzydła. Z tych zaś skrzydeł zaczęły się sypać

rozmaite mniejsze i większe różnokolorowe kulki, które jak balony do góry podlatywały.

Dzieci chciwie zbierały owe kulki, ciesząc się podarkiem Nowego Roku.

Nowy Rok tymczasem, wskoczywszy na krzesło, zawołał:

— Nowy Rok życzenia wam dobre przynosi, a jeśli wam zawini, przebaczenia prosi!

— Wiwat, niech żyje Nowy Rok! — zawołano chórem.

I dzieci rozochoczone chciały dalej się bawić, lecz rodzice, widząc, że to już bardzo późno, i że dzieci dosyć się wytańczyły, nie pozwolili na dalszą zabawę.

Każda mama, otuliwszy swoje dzieci, zabrała je do domu, żegnając miłe towarzystwo i życząc sobie nawzajem, aby rok nowy przyniósł dużo radości.

Helenka i Rózia, uszczęśliwione zabawą, ucałowały ręce rodziców. Znalazłszy się jednak w swoim pokoju, nagle jakoś sposepniały i nie nie mówiąc, zaczęły się rozbierać.

Po chwili Helenka rzekła:

— Róziu, czy ciebie mama tak serdecznie pocałowała jak zwykle?

— Och nie, wcale nie, mama zaledwie mnie dotknęła ustami, a nawet zdaje mi się, że mnie wcale nie pocałowała.

— Pewnie się mama o co gniewa — rzekła Helenka — ale o co?

I obiedwie dziewczynki spojrzwały pytająco na siebie.

Wtem Różia, oparłszy się na stole, nieuważnie nacisnęła jedną z tych kulek, które Nowy Rok rozrzucał, a z niej wypadło kilka złoconych białych karteczek. Różia pochwyciła jedną, Helenka wzięła drugą. Kartki zdawały się być białe, lecz gdy dziewczynki rozłożyły je i podniosły ku lampie, na jednej kartce było wypisane wielkimi literami:

„Ze starym rokiem pozbądź się wad swoich.“

Na drugiej:

„Wyrzecz się największej twej wady, a rok nowy przyniesie ci szczęście.“

— To też liche dowcip! — zawołała Różia wzgardliwie. — Mógł się też Józio zdobyć na coś mądrzejszego.

Helenka nic nie odpowiedziała, zasepiła się jeszcze bardziej, a potem rzekła:

— Ja już wiem, czemu mama nas tak serdecznie jak zwykle nie pocałowała.

— A czemu? — zapytała Różia.

— Bo... bo... — jąkała Helenka — czy pamiętasz, jak mama na nas smutno spojrziała, kiedyśmy oglądały ową banię na głowie Józia?

Różia nic nie odrzekła, tylko się zarumieniła.

Helenka, zamyśliwszy się, podniosła mimowoli ku lampie ową kartkę, którą jej Nowy Rok

przyniósł w podarku, a wyrazi: „*Wyrzecz się twojej największej wady, a rok nowy przyniesie ci szczęście,*“ błyszczały wielkimi literami. Helence jakby jakaś nowa myśl zajaśniała, i nie już nie mówiąc, rzuciła się siostrze na szyję.

— Moja Róziu kochana, ja już ci nigdy niczego zazdrościć nie będę, ani się cieszyć, jeżeli ci się co nie uda.

Rózia jeszcze bardziej się zarumieniła. Znać było, że dziewczynce pochlebiało to, iż jej zdolności wzbudzały zazdrość w siostrze, oczki jej zablęśły i nie odrzekła.

— Mama tak smutnie na nas spojrzała, bo ja ucieszyłam się, że ci się nie udało zgadnąć, jak się ta bania, którą Józio miał na głowie, otwiera. A mama się tak martwi, gdy zobaczy w nas jakąś wadę. Och, ja już nigdy nie będę ci zazdrościła! — mówiła ze szczerem postanowieniem Helenka.

Na widok siostry, tak szczerze przyznającej się do winy, Rózia spuściła oczy, a potem rzekła, obejmując ją za szyję:

— Och, i ja już nigdy przechwalaniem się przykrości robić ci nie będę.

I uściskały się serdecznie.

— Ale powiedz mi, Róziu — rzekła po chwili Helenka — czyś ty naprawdę żadnego dla rodziców nie przygotowała powinszowania?

— Ale jakżeby to było!

— Boś mi mówiła, że żadnego nie napiszesz...

— To tylko umyślnie żartowałam — odrzekła zawstydzona Rózia — ale mam już napisane.

— I ja także. Ale wiesz co, Róziu, ja swego nie dam.

— A to czemu?

— Bo... bo... te karteczki — rzekła Helenka, wskazując leżący przed niemi papier — dobre nam dają życzenia.

— To i cóż? — pytała Rózia.

— Oto pójdę do rodziców, ucałuję ich ręce i powiem: „Życzę wam zdrowia i przyrzekam, że już nigdy siostrze jej zdolności zazdrościć nie będę.“

— Och, moja Helenko, tyś naprawdę lepsza ode mnie, bo umiesz przyznać się do winy! To i ja nie dam powinszowania — rzekła Rózia — tylko im powiem, że już nigdy nie będę się przechwalała ze swoich zdolności.

I obiedwie siostry znowu uściskały się serdecznie.

— Zobaczysz, jak się z tego powinszowania rodzice ucieszą! — rzekła wesoło Helenka.

— I jeszcze bardziej nas kochać będą — dodała Rózia.

Obie dziewczynki, uradowane swoim dobrem postanowieniem, ukłękły do pacierza, a rok nowy ujrzał dwie siostry modlące się gorąco.

Bóg wysłuchał ich modlitwy, bo jak przyrzekły sobie i rodzicom, tak też w dobrem wytrwały. A ta poprawa była najpiękniejszym

i najlepszem powinszowaniem dla rodziców, którzy z przyjemnością widzieli, że Helenka odtąd nie zazdrościła zdolności siostrze, Różia zaś nie przechwalała się nigdy. Ile zaś razy widziała siostrę pracującą nad lekcyami, starała się jej dopomóc.

Nowy rok tak dobrze rozpoczęty przyniesie im szczęście. Obiedwie dobrze się uczą, są kochane przez wszystkich, i słyszeliśmy, że z pewnością obiedwie przejdą do trzeciej klasy i na popisie dostaną najpierwsze nagrody.

II.

Ostatki.

Śnieg wielkimi płatami sypał i sypał, a wiatr owe płaty zdmuchywał, roznosząc je na wszystkie strony. Ulice, pokryte niedawno równiutko śniegiem i wyglądające tak jasno i wesoło, teraz bardzo smutno się przedstawiały.

Wiatr bowiem, rozrzuciwszy owo białe pokrycie ze śniegu, odkrył miejscami czarną ziemię, której zapewne zimno było bez białej osłony, ale za to po bokach ulic piętrzyły się ogromne zaspasy. Czasem wiatr i z zaspasy zabrał garść śniegu, rzucił nim gwałtownie w oczy przechodniów, i znów zdmuchywał go na stronę.

Wtem otworzyły się drzwi największego na całej ulicy domu, w którym mieściła się szkoła, a z niej chłopców wysypało się niemało.

— Ho, ho! — zawołali wesoło ci, którzy najpierwej wybiegli.

I ze śmiechem rzucili się w zaspę, będącą tuż przede drzwiami.

Za pierwszymi wskoczyli inni, i oto w owej wielkiej zaspie, stojącej im na zawadzie, widać było tu i owdzie osypane śniegiem czapki chłopięce, a z pod nich zarumienione wesołe twarzyczki.

— Hej! patrzcie! przewrócę koziołka! — zawołał jeden.

I to mówiąc, odrazu głową rzucił się w zaspę. Że zaś śnieg nie był zamarzony, tylko zleпка usypany, zamiast więc przewrócić przyobiecanego koziołka, chłopiec zanurzył się w zaspę głęboko.

— A co, dobrze ci, Pawełku? — wołali towarzysze, śmiejąc się, kiedy tymczasem Pawełek usiłował wydobyć się z zasypującego go śniegu.

— Może ci pomódz? — zawołał Leoś i wskoczył w zaspę, zsuwając się na niego.

Śmiech powstał jeszcze głośniejszy. Nareszcie Pawełek wydobył się, a wzięwszy garść śniegu, obrzucił nim najbliżej stojącego towarzysza.

— Wybornie! wybornie! — zawołał Antoś — będziemy bawili się w śnieżki!

I rzucił bryłą ugniecioną ze śniegu.

Leoś pochwycił ją i rzucił jak piłkę na pustą w owej chwili ulicę. Bryła potoczyła się daleko, a wiatr zaszumiał i odrzucił tuman śniegu na chłopców. Nie przerwało to jednak zabawy, owszem, pobudziło ich do większej jeszcze wesołości.

Chłopcy, rozrzuciwszy śnieg pod szkołą, biegli do domu, wskakując na wszystkie spotykane zapy i rozgrzewając się rzucaniem kul ze śniegu.

Wtem wśród ich wesołości rozległ się płacz rzewny. Rzucona śnieżka trafiła w przechodzącą małą dziewczynkę.

Dziewczynka, którą wiatr na wszystkie strony pomiatał, płacząc, uciekała przed biegnącymi chłopcami, obawiając się rzuconych śnieżek.

— A to beksa! — zawołał Leos.

I rzucił za nią śnieżką, a za jego przykładem posypało się kul śniegowych niemało.

Dziewczynka, ugodzona po raz drugi, pośliznęła się i upadła.

— Och, mój Boże! mój Boże! — wołała, wstając, i jeszcze rzewniej płakać zaczęła, spojrzawszy na leżącą w śniegu potłuczoną butelkę.

— Co ja dam teraz matusi! co ja dam matusi! — biadała dziecina.

I przysiadła na ziemi, usiłując w potłuczoną skorupkę zebrać różowy płyn, który się wylał z butelki. Napróżno jednak. Płyn różową smugą rozlał się po śniegu, a ona, usiłując go zebrać w skorupkę, kaleczyła sobie tylko szkłem zziębłe rączęta.

Chłopcy tymczasem, nie zwracając już na nią uwagi, pobiegli dalej, na skrócie ulicy rozbiegli się, i każdy pośpieszył do domu, obiecując sobie doskonale się zabawić, bo to właśnie były zapusty czyli ostatki. Trzej towarzysze:

Pawełek, Antoś i Leoś, do jednego weszli domu, bo razem stali na stancyi.

Ulicą nikt nie szedł, a dziewczynka, widząc, że na nic się nie zda zbieranie rozlanego płynu, zabrała tylko malowany papierek, będący przy butelce, i płacząc coraz rzewniej, poszła dalej. Minęła dużo domów i nareszcie weszła do najuboższego i najmniejszego.

Kiedy stanęła w sieni, przytuliwszy się do ściany, ocierała oczy rogiem podartej chuściny, którą miała na głowie. Po chwili zbliżyła się do niziutkich drzwi, lecz nie śmiała ich otworzyć.

Wtem z za owych drzwi usłyszała wołanie:

— Kasiu! Kasiu!

Kasia cicho otworzyła drzwi do ciemnej izdebki, a głos z głębi wołał coraz niecierpliwiej:

— Kasiu! Kasiu! dawaj to lekarstwo!

Dziewczynka nieśmiało zbliżyła się do uboższego łóżka, na którym leżała wychudzona kobieta. Miała ona oczy błędne, świecące, rozpalone policzki, ręce niecierpliwie wyciągała przed siebie, a ujrawszy stojącą Kasię, wołała:

— Dawaj, dawaj, moje dziecko!

Kasia przytuliła się do łóżka chorej, mówiąc przerywanym głosem:

— Moja matulku! moja matulku! paniczne rzuć na mnie śniegiem, ja upadłam, stłukłam butelkę, lekarstwo się wylało, tylko papierek zabrałam.

Chora spojrziała błędnymi oczyma, jak gdyby usiłowała zrozumieć wyrazy Kasi, a po chwili rzekła:

— Stłukła! a pan doktor mówił, że lekarstwo pomoże.

Kasia nic nie odpowiedziała, tylko przypadszy do ręki chorej, pocichu płakała.

Chora mówiła w gorączce:

— Suknia sprzedana, chustka w kwiaty sprzedana, korale już dawno sprzedane, kaftan dzisiaj sprzedany... wzięłam pięć złotych. Cztery złote za lekarstwo... dziesięć groszy na drzewo... cztery grosze na bułki dla Kasi... to już tylko szesnaście groszy!... Za szesnaście groszy lekarstwa nie dadzą!... Oj! a tak pali! tak pali! coby tu sprzedać! coby tu sprzedać! — powtórzyła kilka razy.

A potem już tylko usta jej się poruszały, lecz głos żaden nie wychodził.

Chora chciała mówić, lecz widać nie mogła.

Kasia, zmęczona i zziębła, wsunęła się na łóżko i przytuliwszy główkę do chorej matki, wkrótce usnęła.

Chwilę jakąś chora, nic nie mówiąc, leżała, a splakana dziewczynka spała spokojnie.

Niezadługo jednak chora zaczęła jęczeć i rzucać się na łóżku, a rozbudzona Kasia szybko się zerwała.

— Matulku! matulku! — wołała dziewczynka, obejmując matkę za szyję — co wam to?

zaraz podam lekarstwo! — mówiła na wpół rozespana dziecina.

Wtem zobaczyła ów papierek od flaszeczki z lekarstwem, który dotąd ścisłała w rączce, i przypomniała sobie całe smutne zdarzenie.

— Och, mój Boże! mój Boże! — zapłakała biedna Kasia — gdyby to było lekarstwo, toby matulka tak nie jęczała.

I naciągnawszy na głowę podartą chusteczkę, wyjęła z pod poduszki matki owe szesnaście groszy, zawinęła je w receptę, odjętą od flaszeczki i wybiegła na ulicę.

Na ulicy było pusto, a wiatr tak samo dął, jak i w południe.

Było już zupełnie ciemno, tylko gdzieniegdzie padało światło z okien i dochodziły wesołe śmiechy, a przez szyby widać było, jak ludzie się krzątali, jak na stołach piętrzyły się stosy pączków i faworków, a dzieci wesoło biegały, ciesząc się zastawionymi przysmakami, jak to zwykle w zapusty.

Domy w małych miasteczkach nie są wysokie, więc też i Kasia, idąc środkiem ulicy, łatwo mogła to wszystko dojrzeć przez oświetlone okna.

Biegła, jak mogła najprędzej. Nareszcie nieśmiało otworzyła drzwi do apteki i zbliżyła się do stołu.

— Czego chcesz, mała? — zapytał ten sam pan, który jej rano oddał lekarstwo.

Kasia, zamiast odpowiedzi, położyła receptę, w której były zawinięte ostatnie jej szesnaście groszy.

Pan, stojący za stołem, wziął receptę, rzucił szesnaście groszy na stół i rzekł:

— A za te szesnaście groszy czego ci dać?

— To proszę pana jabym chciała tego lekarstwa za szesnaście groszy.

— A to głupia dziewczyna! — roześmiał się ów pan. — Ja ci nie mogę dać tego lekarstwa za szesnaście groszy. Kosztuje cztery złote, będzie za pół godziny, zaczekaj.

I oddawszy Kasi szesnaście groszy, odwrócił się do swojej roboty.

Kasia spojrzała naokoło wielkimi oczyma, powtarzając:

— Za szesnaście groszy niemożna!... kosztuje cztery złote! — i westchnęła.

A nie wiedząc co robić, usunęła się w kątek apteki i oparła się o ścianę.

Ludzie wchodzili i wychodzili; każdy żądał jakichś leków, wydobywał pieniądze, płacił i odchodził.

Kasia patrzyła i myślała sobie:

— Jacy oni szczęśliwi, przyniosą lekarstwo i matka im wyzdrowieje.

W sklepie było ciepło i widno. Kasia miała ochotę czekać na lekarstwo w aptece; wszak ten pan pozwolił, powiedział: „Zaczekaj!“ Ale wtem przypomniała sobie, że ten pan powiedział:

Nasi znajomi.

— Lekarstwo kosztuje cztery złote!

Obejrzała swoje szesnaście groszy, westchnęła, ktoś otworzył drzwi do apteki, i Kasia wysunęła się na ulicę.

Wiatr uciszył się, śnieg przestał padać, a w górze jaśniało niebo, usiane gwiazdami.

Kasi jakoś weselej się zrobiło, gdy ujrzała owe światełka na niebie. Szła szybko, lecz wtem przypomniało jej się, że matka czeka na lekarstwo, a ona nie ma czterech złotych na zapłacenie.

Oparła się o drzwi jakiegoś domu, spojrzała do góry, niebo mrugało gwiazdami.

— Kiedy Pan Bóg zawiesił tyle świateł, to z pewnością doskonale widzi, co się dzieje tutaj na ziemi i w całym miasteczku, a więc zobaczy i moją matkę chorą. Zobaczy też i to, że ja nie mam na lekarstwo! — myślała Kasia.

A myśląc tak sobie, drżącą ręką rachowała owe szesnaście groszy, jak gdyby chciała, żeby gwiazdy je oświeciły, a Bóg z wysokości dojrzał, iż jej jeszcze tak dużo brakuje do czterech złotych.

Kasia westchnęła znowu serdecznie, łzy popłynęły po jej zziębłych policzkach, i biedna dziecina upadła na kolana na zmarzłym śniegu.

— Boże mój, dobry Boże! — wołała, wyciągając dłonie ku niebu. — Daj mi cztery złote na lekarstwo i daj matce zdrowie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się jakiś głos tuż

przy niej. — Patrz, Pawełku, pod naszymi drzwiami kłęczy jakieś małe obdarte bobo i modli się! — zawołał Leoś, jeden z owych chłopców, którzy wracali ze szkoły.

— Ach, to ta sama dziewczyna, która tak przed nami uciekała — rzekł Antoś, przyjrzawszy się Kasi.

— Ależ to chyba waryatka, taki mróz, a ona kłęczy na ulicy! — zawołał Pawełek.

Kasia, zobaczywszy chłopców, przestraszyła się bardzo, bo sobie przypomniała, że przez nich stłukła lekarstwo.

Wstała więc i chciała uciekać; lecz Pawełek przytrzymał ją za ramię, mówiąc:

— Co tu robisz, dziewczyno? Zmarzniesz, kłęząc na śniegu.

— Paniczu! paniczu! puść mnie — prosiła przestraszona Kasia — ja się modlę, żeby mi Pan Bóg dał cztery złote na to lekarstwo, które mi panicz dziś stłukł, wychodząc ze szkoły.

— Ha, ha, ha! jaka ona śmieszna! — zawołał Leoś.

— Puść ją, daj pokój — mówił Antoś — to jakaś waryatka; pójdźmy oto po pączki — dodał Antoś.

Lecz Pawełek nie słuchał Antosia. Bo chociaż psotny był z niego chłopiec, w gruncie jednak miał bardzo dobre serce i nie mógł patrzeć na łzy biednej dziewczynki. Przypatrzywszy się Kasi, zapytał:

— Kiedy? jakie ci ja stłukłem lekarstwo?

— A dzisiaj — rzekła Kasia, ośmielona łagodnym wejrzaniem Pawełka. — Jak panicze rzucali śniegiem, to ja uciekałam, żeby który nie trafił w butelkę z lekarstwem; panicze rzucili we mnie dużą kulą śniegu i stłukli całą butelkę.

Pawełek przypomniał sobie powrót ze szkoły, wesołą zabawę i rzeczywiście poznał w płaczącej ową dziewczynkę, która uciekała przed nimi. Zawstydzil się więc bardzo i rzekł:

— To pójdź tutaj do nas, tobie zimno, ogrzejesz się, damy ci pączków, gorącej herbaty, bo to dziś zapusty.

I otworzył drzwi do sieni.

Kasi aż się oczy zaświeciły, gdy usłyszała, że jeść dostanie; od trzech dni bowiem nic ciepłego nie jadła. Już wchodziła do sieni, gdy sobie przypomniała o lekarstwie.

— Oj nie, paniczu, nie pójdę; za pół godziny trzeba iść po lekarstwo, cztery złote trzeba za nie zapłacić, ja tak prosiłam o nie Boga.

I spojrzała ku niebu, gdzie ciągle mrugały jasne gwiazdy. Potem spuściła oczy ku ziemi, jak gdyby chciała się przekonać, czy Pan Bóg nie zesłał jej owych pieniędzy.

Pawełek, nie czekając jednak długo, wciągnął biedną dziewczynkę z sobą do pokoju, a za nim wbiegli i towarzysze. Rodzice każde-

mu z nich przysłali po kilka złotych, żeby sobie w ostatki kupili pączków i zabawili się wesoło.

Ta pani, u której stali na stancyi i która się nimi opiekowała, chętnie zezwoliła na zabawę, a Pawełek, Antoś i Leoś mieli sobie zaprosić kilku towarzyszków. Właśnie wychodzili na miasto, ażeby kupić pączków dla siebie i dla zaproszonych gości, kiedy oto przede drzwiami spotkali płaczącą Kasię.

Dziewczynka, wprowadzona gwałtownie do pokoju, sama nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Czysto umięciony pokój, z czystymi, choć ubogimi sprzętami, lustro, w którym odbijała się jasno płonąca lampa—wszystko to dla niej było najzupełniejszą nowością. Kasia była córką bardzo biednej wyrobnicy, mieszkała w ciasnej i brudnej izdebce, w której oprócz ubożego łóżka, nic prawie nie było. Patrzała więc, szeroko otworzywszy oczy, i sama nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje.

— Może — myślała sobie — to jest już początek nieba, a na tych białych zasłanych łóżeczkach śpią aniołowie, ażeby być na każde zawołanie samego Boga?

— Ha, ha, ha! patrzcie, jaka ona śmieszna! usta otworzyła i stoi! — zaśmiał się znowu Leoś.

— Ech, dajcie pokój! — rzekł Antoś; — chodźmy oto po pączki, a obdartą puście, niech idzie skąd przyszła.

I to mówiąc, pociągnął towarzyszków.

Głosy chłopców przypomniały biedaczce, gdzie się znajduje.

— Oj tak — rzekła — niech mnie panicze puszcza, ja muszę pójść po lekarstwo; kazali przyjść za pół godziny.

I zawróciła się ku drzwiom.

— Boże mój, Boże! daj mi cztery złote na lekarstwo! — zawołała nagle.

— To ty nie masz na kupienie lekarstwa? — zapytał Pawełek.

— A juści, że nie mam; matka kaftan sprzedała na tamto lekarstwo, co stłuczone. Mam tylko szesnaście groszy, a w aptece powiedzieli, że za szesnaście groszy niema lekarstwa, tylko koniecznie trzeba przynieść cztery złote. Matka już nie ma drugiego kaftana, bo wszystko sprzedała! Co ja zrobię! co ja zrobię! Och mój Boże! mój Boże! daj cztery złote na lekarstwo! daj zdrowie matce! — mówiła Kasia ze łzami.

— Poczekaj-no, poczekaj, mała! — zawołał Pawełek. — Ech, wiecie co? — dodał, zwracając się do kolegów. — Ja nie chcę już dziś pączków, bawcie się sami, a ja swoje pieniądze oddam tej biednej dziewczynce.

I to mówiąc, wyjął woreczek z kieszeni i wysypał na stół trzy białe czterdziestówki, które mu właśnie rodzice przysłali, ażeby sobie w ostatki kupił jakich przysmaczków.

— Akurat! — zawołał. — Daj rękę! mała! masz! dwadzieścia, czterdzieści, sześćdziesiąt

kopiejek, to jest cztery złote! Właśnie tyle, ile kosztuje lekarstwo! Masz, mała, idź kup matce lekarstwo, a nie płacz!

— Fiu, fiu! jaki z tego Pawełka wielki pan! tyle pieniędzy oddał żebraczce! — zawołał, śmiejąc się, Leoś.

— Ech nie, on nie wielki pan! bo nawet pączków jeść nie będzie przez całe ostatki — rzekł Antoś. — Ale czekaj, mała! — dodał — myśmy wszyscy w ciebie rzucali śnieżkami. Któż tam wie, czyja śnieżka stłukła ci lekarstwo? Masz i moje cztery złote. Co mi tam po pączkach!

I poczciwy Antoś włożył dziewczynce w rękę swoje trzy czterdziestówki.

Kasia już teraz najzupełniej nie wiedziała, co się z nią dzieje. Pan Bóg ją wysłuchał i zesłał pieniądze na lekarstwo, a nawet więcej jeszcze, niżeli trzeba było za nie zapłacić. Najwyraźniej Pan Bóg wysłuchał jej modlitwy. Ale co się stało tym paniczom, którzy nie tak dawno rzucali w nią śniegiem, a teraz tacy dobrzy, że jej dają na lekarstwo? Nie mogła zrozumieć, że Bóg dobry właśnie w sercach owych chłopczyków obudził litość i miłosierdzie i przez ich ręce zesłał jej pomoc.

Pawełek, widząc, że Kasia sama nie wie co się z nią dzieje, zawołał:

— No, chodź teraz, mała, pójdziemy po lekarstwo.

— Czekaaj — rzekł Antoś — i ja z tobą pójdę; odprowadzimy małą, żeby pociemku nie zaślądziła.

I wyszli, biorąc z sobą Kasię.

— A idźcie, idźcie! — mówił, śmiejąc się, Leoś.

I zły, że mu się nie udało zabawa, usiadł, podparłszy się obu łokciami na stole.

Po chwili jednak pochwycił czapkę i wybiegł za towarzyszami. Spotkał ich już wychodzących z apteki.

— Masz i moje cztery złote! — rzekł do Kasi — kup matce co do jedzenia. I ja dziś nie mam na pączki ochoty!

Uradowana Kasia, mając już tak upragnione lekarstwo, biegła co tchu do matki. Chłopcy zaś, przeprowadziwszy ją przez pustą ulicę, powrócili do domu.

— A gdzieżeście to byli? — zapytała ich ta pani, u której stali na stancyi.

Chłopcy opowiedzieli rzecz całą.

— Poczwiwe z was dzieci! — rzekła ich opiekunka. — Ale czy też ta mała da tam sobie radę? — zapytała — trzebaby jej może dopomódz?

A rozpytawszy się o mieszkanie Kasi, nałła gorącej herbaty, dała parę bułek i posłała przez służącą. Sama tymczasem rozdała zwykłą kolację swoim wychowańcom, którzy utrzymywali, że im jeszcze nigdy tak nie smakowała herbata z bułką, jak podczas ostatków.

Kasia, mając zasilek od chłopców, kupowała matce lekarstwa, drzewo do napalenia w piecu i lepsze pożywienie. Wkrótce też chora kobieta przyszła do zdrowia i znowu mogła pracować. Najpierw jednak poszła podziękować owym trzem chłopcom, którzy wyrzeczeniem się zapustnych pączków naprawili wyrządzoną szkodę i rzeczywiście przyszli jej w pomoc. Lecz nietylko kupieniem lekarstwa dopomogli biednej kobiecie, bo kiedy matka Kasi mogła już pracować, Pawełek namówił kolegów, i wszyscy jej oddawali bieliznę do prania. Tak więc powiększył się jej zarobek, a Kasia jak mogła we wszystkim matce dopomagała, prosząc, żeby Bóg pobłogosławił dobrym paniczom. I Bóg wysłuchał jej modlitwy, bo wszyscy trzej doskonale się uczą, przypominając sobie często owo zdarzenie w zapusty.

III.

Pierwszy Dzień wiosny.

— Oj, o! patrz, Tekluniu, jak to się ciemno zrobiło! — zawołał mały Piotruś, podchodząc do okna.

— A co to śniegu napadało, a jak jeszcze sypie! — rzekła Teklunia, starsza jego siostrzyczka.

I stanęli oboje przy oknie.

— Brzydki ten śnieg pada i pada, a zamiast żeby przysypał ziemię, to się tylko z niego błoto robi! — rzekł po chwili Piotruś.

— A jaka szkoda, że znowu będzie błoto! Wczoraj tak było ładnie, mama nam wyjść pozwoliła — mówiła Teklunia, patrząc ze smutkiem, jak śnieg gęsto sypał, ale to tak gęsto, że nie było na świecie widać, tylko spadające śniegowe gwiazdeczki.

Dzieci stały tak chwilę przy oknie, a twarzyczki im posmutniały, bo ten śnieg trzymał je zamknięte od tak dawna w pokoju, nie pozwalając biegać po ogrodzie.

Nagle rozjaśniło się, śnieg przestał padać, słońce przedarło się przez chmury i jasnym promieniem spłynęło w okienko, zaglądając wprost w oczy stojącym dzieciom.

— A to dopiero! tylko co było ciemno, a teraz słońce świeci w same oczy! — zawołała Teklunia, zasłaniając sobie oczy ręką.

— A jak jasno! nawet patrzeć nie można! — dodał Piotruś.

I dzieci, nie mogąc znieść blasku słońca, odbijającego się w białym śniegu, odeszły od okna.

Piotruś, wysunąwszy sanki, zaczął koło nich majstrować, Teklunia zaś, usiadłszy na niskim stołeczku przy szafce, zaczęła w niej układać. Powyrzucała gałganki, wyjęła nawet wszystkie książki i kajety, a porozrzucawszy je wokoło siebie, wydostała nareszcie pudełko z cukierkami, otworzyła je, a odwróciwszy się w drugą stronę, włożyła cukierek w buzię. Pierwej jednak obejrzała się, czy Piotruś tego nie widzi.

Piotruś tymczasem, zajęty sankami, wcale nie zwracał na nią uwagi. Wziął do dyszla sznurki, w które miał ochotę zaprządz się jak konik. Lecz sznurki były za krótkie.

— Tekluniu, daj mi kawałek sznurka lub tasiemki — prosił siostry.

Lecz Teklunia, mając w ustach cukierek, nie mogła odpowiedzieć. Chciała go prędko połknąć, lecz cukierek dawno bardzo leżał w szafce,

stwardniał więc, i trzeba było długiego czasu, żeby się w ustach rozpuścił.

— Tekluniu! Tekluniu! dasz mi tasiemki? — powtórzył Piotruś.

— Hm! hm! — mruknęła Teklunia, przewracając w ustach twardy cukierek.

— Czyś ty zaniemówiła, że tylko mruyczysz? — rzekł Piotruś i ciągnąc sanki, szedł do siostry.

Co tu robić? Teklunia nie chciała, żeby Piotruś zobaczył, że ona je cukierek, bo wcale nie miała ochoty poczęstować go nim. Utopiła więc ząbki w rozmięczonym cokolwiek cukierku, chcąc go pogryźć jak najprędzej. Ale cóż? nowa bieda! ząbki ugrzęzły w cukierku! chce je wyjąć, ani podobna; cukierek tkwi między zębami. Nachyla się więc ku ziemi, chcąc ukryć przed bratem zakłopotanie, wyciąga nareszcie z zębów cukierek i wypluwa go w kącik za szafkę. Nowe nieszczęście! odwracając się, wysypuje resztę cukierków z pudełka.

— A to ładnie! panna Tekla ma cukierki, sama zajada, a nikogo nie poczęstuje! To bardzo nieładnie! — mówił Piotruś, odwracając się. — Gdyby to mama wiedziała, powiedziałaaby ci nauzkę.

— Na, masz, masz, łakomcze! — rzekła Teklunia, a rozgniewana i zawstydzona, rzuciła bratu dwa cukierki, aż się potoczyły po podłodze.

— Bardzo grzecznie mię częstujesz! — zawołał Piotruś.

I odrzucił nogą cukierki, które potoczyły się pod szafkę.

— A tyś jeszcze grzeczniejszy; nie chcesz, to niech sobie leżą — rzekła Teklunia.

I odwróciwszy się, cała zarumieniona, zaczęła układać gałganki.

Piotruś tymczasem usiadł przy stole, a odwróciwszy się do siostry plecami, wziął przed siebie czarną tabliczkę i zaczął pisać. Przytem mówił półgłosem:

— A to dopiero skąpiradło z tej Tekluni!

Potem znów rachował.

— Dwa a dwa, to cztery, a dwa... tak dusi, dusi, jak dostanie cukierki, aż się wszystkie zeschną! Gdyby to mama wiedziała...

I zamiast pisać, skrobał tylko szyfrem po stole.

— Lepiejbyś rachował, a nie wtrącał się do mnie! — rzekła opryskliwie Teklunia. — Każdy to wie, że zawsze umykasz przed książką i pisanie — mówiła rozdąsana dziewczynka.

— No, no! — rzekł, kiwnąwszy tylko ręką.

Teklunia tymczasem dalej układała w szafce. Pokładła lalki, książki, kajety; zostały już tylko gałganki, szeroko rozrzucone po podłodze.

Wtem weszła Marysia, która zwykle posługiwała w pokoju.

— Czy panienka nie widziała motelki? — zapytała Tekluni.

— A mnie co do twojej miotełki? To jej sobie szukaj! — rzekła z gniewem Teklunia.

— Niech panienka pozwoli, to ja poszukam tutaj pod gałgankami — prosiła Marysia, — bo mnie się zdaje, że panienka wzięła miotełkę do czyszczenia rzeczy lalki.

— Co tobie w głowie! daj mi święty pokój ze swoją miotełką, idź sobie! — oburknęła się znów Teklunia, zwiijając gałganki.

— Moja panienko, może tutaj gdzie za szafką jest ta miotełka, bo mi koniecznie teraz potrzebna; niech panienka posunie się trochę, to ja poszukam.

— Ach, jakaś ty nudna ze swoją miotełką! To jej sobie pilnuj!

I to mówiąc, Teklunia, zabrawszy gałganki, wstała, by zamknąć szafkę. Wstając zaś, gwałtownie stołeczek nogą posunęła, a z pod niego ukazała się miotełka.

— A widzi panienka! — rzekła Marysia, i zabrawszy miotełkę, co tchu pobiegła.

— Oj, oj! żeby to mama słyszała, jak pewna panienka niegrzecznie dziś odpowiada! — rzekł Piotruś, biorąc się za głowę.

— Nie wtrącaj się do mnie! — zawołała Teklunia, a zobaczywszy na stole kalendarz, ukłękła na krzeselku i zaczęła go przeglądać.

— Aha — mówiła półgłosem. — Styczeń to najpierwszy miesiąc w roku. Pierwszego stycznia był Nowy Rok; w styczniu jest mróz, dużo

śniegu i jeździliśmy sankami. Po styczniu luty, drugi miesiąc w roku; w lutym także były mrozy i także jeździliśmy sankami, ale to był karnawał, mama kazała smażyć pączki i faworki, goście przyjechali i tańczyli, och! ale na dworze było zimno. A teraz to jest już marzec — rzekła, odwracając trzecią kartkę. — Aha, a co w marcu? śnieg pada, ale co więcej? — I zaczęła przeglądać całą stronicę. — Dnia dwudziestego pierwszego marca pierwszy dzień wiosny! — zawołała Teklunia, nagle udobruchana. — Piotrusiu! Piotrusiu! pójdź-no!

— A co takiego? — zapytał chętny do zgody Piotruś, wstając od pisania.

— Posłuchaj tylko — mówiła Teklunia: — „*Dnia dwudziestego pierwszego marca pierwszy dzień wiosny!*“

— To i cóż, ja wiem, że będzie wiosna, ale kiedy? Znowu oto śnieg sypie w najlepsze!

I niezadowolony powrócił na miejsce.

— Ale co mi tam śnieg! — mówiła Teklunia. — Wiosna już będzie niezadługo, bo przecież jest już teraz miesiąc marzec, a tutaj w kalendarzu napisano: „*Dnia dwudziestego pierwszego marca pierwszy dzień wiosny!*“

— Naprawdę? — dopytywał się chłopczyzna.

I zapomniawszy wszelkiej urazy, zbliżył się do siostry, ukląkł przy niej na krzeselku, a objąwszy za szyję, zaglądał w otwarty kalendarz.

— Ale o wiosnie czyś ty aby dobrze przeczytała? — dodał po chwili.

— Doskonale! — upewniała Teklunia. — Czyż to ja czytać nie umiem?

— Moja kochana, pokaż mi, gdzie to jest o tej wiosnie?

I Piotruś nachyliwszy się z pomocą siostry przeczytał:

„Dnia dwudziestego pierwszego marca pierwszego dzień wiosny.“

— A widzisz! a widzisz! — zawołała Teklunia, klasnąwszy w ręce i podskoczyła z radości wołając: „Niezadługo, niezadługo, wiosna! wiosenska!“

A Piotruś, skacząc w drugą stronę, także wołał:
— Wiosna, wiosenska!

Obiegłszy tak stół dokoła, każde z osobna, uchwycili się za ręce, a skacząc i kręcąc się, wołali razem:

— Niezadługo, niezadługo! wiosna, wiosenska kochana!

Śnieg tymczasem sypał coraz lepiej, jakby się śmiał z radości Piotrusia i Tekluni.

— A wy z czego się tak cieszyacie? — wchodząc spytała matka.

— Ach mamuniu, mamuniu! bo to już wiosna niezadługo! — zawołały dzieci, przybiegając do matki.

— Będzie słońce, nie będzie błota! niezadługo wiosna! — mówił Piotruś, biorąc matkę za rękę.

— Będzie zielono, będą kwiatki, będą ptaszki i motylki! — mówiła Teklunia, skacząc. — A przede wszystkim ojciec przyjedzie! Prawda, matuniu? wkrótce będzie wiosna? — dodała, całując matkę w rękę.

— Moje dzieci, jeszcze i na przyjazd ojca, i na ciepło, na zieloność, na ptaszki i motylki poczekamy dość długo. Patrzcie, jaka zawieja!

— Tak, matuniu, ale przecież teraz miesiąc marzec — mówiła Teklunia, — a ja przeczytałam w kalendarzu, że dwudziestego pierwszego marca pierwszy dzień wiosny.

— A tak, moje dzieci! — rzekła matka z uśmiechem. — I to jutro już dwudziestego pierwszego marca.

— A więc jutro już wiosna! już wiosna! Ojczulek przyjedzie! jutro już wiosna! jutro będzie słońce! będzie ciepło! będzie zielono! — wołały dzieci, skacząc.

— Co też to wam w głowie! jutro ma być już ciepło i zielono? Patrzcie, co się na dworze dzieje! Jakże może być jutro ciepło? — mówiła matka.

— A kiedy w kalendarzu napisano! — rzekła Teklunia, patrząc ciekawie matce w oczy.

Nasi znajomi.

— A to czemu oni piszą nieprawdę? — mówił Piotruś.

— Któż ci powiedział, że napisali nieprawdę?

— A no, mama powiada, że jutro jeszcze nie będzie wiosny — rzekł Piotruś, naprawdę zmartwiony.

— Ależ ja ci powiadam tylko, że jutro nie może być ani bardzo ciepło, ani bardzo sucho, ani motylki nie będą fruwały. Może nawet śnieg padać, wiosna jednak rzeczywiście od jutra się rozpocznie.

— Jak to, mamu, wiosna i śnieg? nieprawdę? — pytała Teklunia, siadając przy matce, a Piotruś zaraz też zajął przy niej miejsce.

— A tak, moje dzieci; przecież wam tyle razy mówiłam, że rok ma dwanaście miesięcy. Że zaś w naszym kraju są cztery pory roku, zatem każda pora ma trzy miesiące. Dnia zaś dwudziestego pierwszego marca ziemia tak staje do słońca, iż dzień jest tak długi, jak i noc, to jest, że od wschodu do zachodu słońca jest godzin dwanaście, i od zachodu do wschodu także dwanaście. Od tego dnia słońce coraz wcześniej wschodzi i później zachodzi, dzień jest dłuższy a noc krótsza, na ten więc dzień naznaczono początek wiosny.

— Eh, co mi tam po takiej wiośnie! — rzekł Piotruś.

— Wcale nie co mi tam! — rzekła matka; — bo właśnie przez to, że słońce coraz dłużej świeci

i ogrzewa ziemię, to śniegi ogrzane słońcem topnieją, a ziemia rozmarza.

— Co też to za szkoda, moja mamuniu, — ozwała się Teklunia, — że słońce odrazu tak mocno nie zaświeci i nie ogrzeje ziemi, żeby odrazu ciepło było!

— A niechże Bóg broni! A to dopiero moja córeczka wszystko chce robić gwałtownie. Ciekawam bardzo, czybyś ty się była czego nauczyła, gdybym ci wtedy, kiedy byłaś w kolebce, dała książkę i kazała *odrazu* czytać.

— Eh, mamunia żartuje! przecież gdy byłam w kolebce, byłam bardzo malutka, książkibym nie utrzymała, a zresztą i mówić nie umiałam — rzekła Teklunia, a Piotruś zaczął się śmiać serdecznie.

— Aha, widzicie, wy nicbyście *odrazu* nie potrafili, a chcecie, żeby ziemia, która sobie ci chutko spoczywała pod ciepłą osłoną śniegu, *odrazu* zrzuciła śniegową pierzynkę i ustroiła się w trawę i kwiaty. Tak być nie może. Ta wiosna, przychodząca powoli, wielkie nam oddaje usługi, budząc ziemię ze snu zimowego. Najpierw więc powoli rozgrzewa się wierzchnia skorupa lodu, którym ziemia jest obmarzła; śnieg, roztopiony ciepłem słoneczkiem, spływa powoli, a rozmarzła ziemia pije tę wodę śniegową. A im głębiej rozmarza, tem więcej pije. Woda w rzekach i jeziorach, nie ścięta już mrozem, płynie swobodnie, rozlewa się na łąki i pola,

obmywa je po śnie zimowym. Nareszcie deszcz spadnie i opłucze ziemię do reszty; wtedy dopiero wychylają się nieśmiało ździebelka trawy i wszelkich roślin, coraz to więcej zaczynają wyglądać z pod ziemi; pączki na drzewach, ogrzane słońcem, zaczynają rozwijać listeczki; z ziemi wychodzą rozmaite robaczki, ażeby się ogrzać na słońcu; ptaki, które podczas zimy kryły się w lasach lub pod strzechą, albo też w cieplejsze odlatywały kraje, wracają do nas znowu, świegoczą, cieszą się, że niema już śniegu i dalejże zwawo biorą się do pracy. I tak powoli słońce, świecąc coraz dłużej, coraz to bardziej ogrzewa ziemię. Wszystko się rozwija i rozrasta, bo wiosna wszystko do życia budzi.

— To prawda, że przez całą zimę wcale ptaków nie widać — rzekła, namyślając się, Teklunia.

— Wrony czasem przychodzą przed dom, o! i teraz siedzą na środku podwórza — mówił Piotruś.

— Eh, wrony to takie brzydkie ptaki — rzekła Teklunia. — A prawda — dodała — nie tylko wrony, lecz i wróble także przychodzą. Ale wróble to takie są biedne, tak nieraz na oknach siadają...

— Och, one wcale nie biedne — ozwał się Piotruś — bo Marcin mówił, że wróble ciągle

siedzą w stodole i pszenicę wyjadają. Oho, dadzą one sobie radę!

— Prawda, mój synu, że wróblom lepiej, niż innym ptakom; ale zdaje się, że i tobie na niczem nie zbywa. Masz ciepłe odzienie, w pokoju ciepło, masz co jeść, często dostajesz jakiś przysmaczek, masz i zabawki; a jednak tęsknisz do wiosny i chciałbyś jak najprędzej z pokoju się wydostać.

— Ale bo, matuniu, jabym chciał tak po dworze pobiegać, zobaczyć co się dzieje w stajni, zajrzeć do cielątek, klasnąć z bicza, żeby daleko, daleko było słychać...

— A jabym chciała zobaczyć swój ogródek i pobawić się na trawniku...—przerwała Teklunia.

— Otóż widzicie, moje dzieci, te same żądania mają i wróble. Tak jak wy pokój, tak one chciałyby opuścić ciepłą i pełną stodołę i polecieć do ogrodu, do lasu, napić się rosy z liści, lub wody ze źródła, pochodzić po wilgotnej, miękkiej, a ogrzanej słońcem trawie, nie zaś po zimnym śniegu. I one chciałyby głośno zaświergotać i pobujać po szerokim świecie. Więc chociaż, jak powiada Piotruś, wróble dadzą sobie radę, bo siedzą w pełnej stodole, mimo to jednak tęsknią do swobody i wiosny.

— Ale mamuniu, Marcin powiada, — ozwał się znów Piotruś, — że wróble w stodole wielką robią szkodę.

— Prawda, mój synu, i Marcin dobrze robi, że im w stodole nie pozwala gospodarować; ale biedne wróble, gdyby im człowiek nie pozwalał używać swoich zapasów, z głoduby poumieraly.

— A czemuż to wróble nie przysposobią sobie jedzenia na zimę, — rzekła Teklunia — tylko zjadają nam zboże? To szkaradne szkodniki! — dodała.

— A jakaż ty samolubna, moja Tekluniu! — rzekła żywo matka. — Ciekawa jestem, co byś też ty zrobiła, gdyby ci przyszło pomyśleć o tem, co jutro jeść będziesz, lub co włożysz na siebie?

— Ach, moja matuniu! — rzekła Teklunia cała zarumieniona i zaczęła całować ręce matki. — Moja matuniu! — mówiła dalej dziewczynka — nie gniewaj się, ale przecież ja jeszcze jestem mała i pracować nie umiem.

— A widzisz, moje dziecko, sama jeszcze pracować nie umiesz, i ani jednego dnia nie mogłabyś wyżyć bez opieki, a tak odrazu przyganiaasz wróblom, że nie myślą o sobie, tylko żyją z cudzej pracy.

— Ale, moja mamuniu! — ozwał się z kolei Piotruś — przecież i ja i Teklunia nauczymy się pracować, a to czemu wróble pracować się nie uczą, kiedy przecież inne ptaki nie siedzą w stodole, tylko inaczej się żywią?

— A jacyście wy skorzy oboje, żeby zapędzać innych do pracy! Wróbel jest za mały

i za słaby, ażeby nagromadzał sobie żywność na zimę, odgrzebuje więc śnieg, szuka pożywienia, a gdy tam nic nie znajdzie, tuli się do mieszkań ludzkich i przy nich się żywi. Ludzie nie żałują im ziarna, bo i wróble ze swej strony wielkie nam oddają usługi.

— A to jakie? — zapytały dzieci razem.

— Moje dzieci, gdyby nie ptaki, które zjadają i niszczą wiele robaków i owadów szkodliwych dla drzew i zboża, to smutnoby wygładaly nasze pola i ogrody, a jeszcze smutniej my sami: nie mielibyśmy ani zboża, ani jarzyn, ani owoców.

— Aha, prawda! — zawołał Piotruś — ja pamiętam, że widziałem nieraz, jak orali, a wrona chodziła za pługiem i wybierała wielkie robaki z ziemi.

— Prawda, prawda! — przyświadczyła Teklunia — i ja sobie przypominam, że wróble, często nawet zimą, gdy dzień cieplejszy, siedzą na drzewach i obdziobują gałązki. To one pewnie wyjadają robaczki i owady.

— Widzicie więc, moje dzieci, że zastanowiwszy się, obojeście sobie przypomnieli, ile nam usług ptaki oddają. A za te usługi i my nie powinniśmy im żałować trochy pożywienia. Człowiek bowiem najwięcej od Boga darów otrzymał, najwięcej też innym stworzeniom powinien dopomagać i we wszystkim im przewodniczyć, a tem co ma podzielić się z innymi.

— Ja też wróblom nie żałuję pszenicy — rzekł Piotruś: — niechaj sobie jedzą!

— A cóż tobie do pszenicy, przecież pszenica nie twoja, ty na nią nie pracujesz! — ozwała się opryskliwie, jak zwykle, Teklunia.

— Tak jak i nie twoja, a mimo to mówiłaś, że wróble mogą same pracować! Oho, ja cię znam: gdyby pszenica była twoja, toby z pewnością żaden wróbel do niej nie przyszedł; wszystkichby wystraszyła taka złościna!

— Dzieci, dzieci kochane! cieszycie się z powrotu wiosny, z tego pięknego dnia, kiedy wszystko budzi się do nowego życia i uśmiecha radośnie, a same klóćcie się z sobą.

— Ale bo, gdyby mama wiedziała... — zaczął Piotruś — ta Teklunia...

— No i cóż? i cóż? — przerwała mu cała zaperzona dziewczynka.

— Aha, aha, a wstyd! — począł znów Piotruś.

I już miał ochotę powiedzieć o cukierkach, które mu Teklunia tak niegrzecznie rzuciła, i o sprzeczce z Marysią o miotełkę, lecz w tej chwili słońce znowu przedarło się przez chmury i jasnym, złocistym promieniem oświeciło pokój cały.

Na zachodzie niebo się wypogodziło i pięknym błękitem rozweseliło świat; wróbel zaświgał jakoś radośnie, a kogut, podsunąwszy się pod samo okno, zapiał czystym i donośnym głosem.

— Ach, jak się znowu zrobiło ładnie! — zawołał Piotruś.

— A widzi mama, że wiosna będzie niezadługo; już i ptaki się cieszą! — rzekła Teklunia, przytulając się do matki.

— Tak, dzieci kochane, wiosna z pewnością wkrótce powróci, od jutra coraz to bliżej, ale czyście wy, dzieci moje, pomyślały, że kiedy wszystko budzi się do nowego życia, to wy tylko śpicie uparcie?

— Jak to, mamuniu? — zapytała Teklunia.

— A przecież ja rano wstaję—dodał Piotruś.

— Tak, to prawda, rano wstajecie, lecz dni przechodzą, a wy wzrastacie z waszemi wadami. A wszakże z dniem pierwszym wiosny każde drzewko zaczyna otrząsać się ze snu zimowego, z dniem każdym rozchyla pączki maleńkie, a co wiosna nowe i coraz piękniejsze wypuszcza gałązki. Wyście także mojami drzewkami — dodała matka — a jednak...

— Matuniu, matuniu kochana, jam twoje małe drzewko! — rzekła Teklunia, tuląc się do matki.

— O i ja także drzewko mateczki! — mówił pieszczotliwie Piotruś.

— A czy te drzewka przyniosą mi radość i pociechę? — spytała matka.

— O tak, mateczko; bo wszak to jutro pierwszy dzień wiosny! — rzekła Teklunia.

Na drugi dzień, gdy Teklunia się obudziła, zapytała braciszka:

— Piotrusiu, czy pamiętasz, że to dziś pierwszy dzień wiosny?

— O pamiętam, pamiętam doskonale!

I dzieci żywo pobiegły do okna.

Słońce weszło pogodnie, ludzie krzatali się przy pracy, lecz błoto było jak wczoraj, a śnieg leżał miejscami.

— E, to nie! — rzekła Teklunia — przecież to dopiero pierwszy dzień wiosny.

I pobiegła do swojej szafki, wyjęła kajet, napisała te słowa: „Od dnia dwudziestego pierwszego marca, jako od pierwszego dnia wiosny, pragnę być coraz lepszą i łagodniejszą.“

— Co ty piesz? — zapytał Piotruś.

— E, to nie; zapisuję, że to dziś pierwszy dzień wiosny.

— A czy wiesz, Tekluniu, że ja sobie tak myślę, że już od dzisiaj to się będę lepiej uczył. Pierwszy dzień wiosny, wszystko budzi się do życia, to i mnie trzeba się wziąć do pracy.

I jak dzieci sobie przyrzekły, tak wiernie przyrzeczenia dotrzymały.

A słońko codzien dłużej przyświecało i przygrzewało. Śnieg, chociaż czasem przysypał ziemię, wkrótce pod ciepłymi promieniami słońca spływał strumieniem wody do pobliskiej rzeki.

Powoli trawka zaczęła wychylać się nieśmiało żółtawemi ździebełkami, aż nareszcie deszcz ciepły i rześisty splukał ziemię i trawka nabrała zielonego koloru.

Na drzewach maleńkie listki coraz to bardziej się rozwijały i coraz to więcej przybywało gałązek zielonych, a ptaszki, świegocząc, skakały po tych gałązkach.

Wszystkim wesoło od owego pierwszego dnia wiosny, a matka Piotrusia i Tekluni do ojca, który był bardzo daleko, napisała te słowa:

„Teklunia od dnia 21 marca bardzo pracuje nad sobą i jest coraz bardziej uprzejmą i łagodną, a Piotruś coraz chętniej do nauki się bierze. Pierwszy dzień wiosny prawdziwą nam przyniósł pociechę.“

IV.

Ś o w ó d z. /

Dosia miała lat dziesięć, była bardzo dobrą dziewczynką, uczyła się pilnie, była posłuszną rodzicom i nauczycielom, grzeczną i uprzejmą w obejściu ze służącymi, ale miała tę nieszczęśliwą wadę, że nie umiała oszczędzać swoich rzeczy. Prócz tego grymasiła w jedzeniu i nie pojmowała, jak można żyć bez ładnego mieszkania i ubrania, i jak można obchodzić się bez rozmaitych przysmaczków.

— Dosiu, czemu ta książka niesprzątnięta?—
mówiła jej nauczycielka, panna Klementyna.

— Dobrze, zaraz sprzątnę! — odpowiedziała
Dosia.

I wzięwszy książkę ze stolika, wrzuciła ją do wpół otwartej szuflady, załamując okładkę i kartki książki.

— Dosiu, patrz, coś zrobiła z książką? —
rzekła panna Klementyna; — taka ładna i dro-
ga książka, a zaraz będzie zniszczona.

— E, proszę pani, tatko pojedzie do Warszawy, to mi kupi jeszcze piękniejszą, jeszcze więcej będzie obrazków.

— Wierzę, że ci tatko kupi jeszcze piękniejszą, ale i tej szkoda, moja Dosiu.

— Eh, to już stara, znam w niej wszystkie powiastki! — broniła się Dosią.

— To lepiej ją dać jakiej biednej dziewczynce, której rodzice nie mogą kupować książek — zauważyła nauczycielka.

Dosią nie odpowiedziała, poprawiła źle włożoną książkę, a skrzywiwszy usteczka, pomyślała sobie:

— Ciekawam, coby komu było po starej książce!

Potem wzięła polewaczkę, napełniła ją wodą i pobiegła do drugiego pokoju podlewać kwiatki, które bardzo starannie hodowała.

— Panienko, panienko! co panienka zrobiła z sukienką! — rzekła Antosia, dziewczyna, która Dosi zwykle usługiwała, wskazując jej sukienkę od góry do dołu oblaną.

— Ach, prawda! — rzekła Dosią — trzeba się przebrać! Moja Antosiu, daj mi inną sukienkę, bo w tej przecież chodzić nie mogę — dodała.

I skończywszy podlewanie kwiatków, zaczęła się przebierać.

— Jaka szkoda takiej ładnej niebieskiej sukienki! — mówiła Antosia, zabierając zmoczoną sukienkę. — Pewnie będą plamy.

— E, może i nie będą, a zresztą to taka stara sukienka! — odrzekła Dosia.

Antosia wzięła sukienkę, żeby ją wysuszyć i wyprasować, a Dosia pobiegła do swoich zabawek.

Wkrótce potem dano podwieczorek, do którego Dosia tylko z panną Klementyną zasiadła, bo rodzice na całe cztery dni wyjechali z domu.

— Dosiu, czemu nie jesz? — zapytała nauczycielka.

— Ale bo proszę pani ta bułka taka czerstwa, a mleko jakieś niesmaczne.

— Bułka nie jest czerstwa, ale zresztą weź sucharków — rzekła panna Klementyna.

— Och, i te sucharki niedobre! — odparła z grymasem dziewczynka.

— To może chcesz kawy i chleba z masłem? — pytała nauczycielka.

— A dobrze, proszę!

Panna Klementyna, chcąc dogodzić swojej wychowance, naląła filiżankę kawy, posmarowała masłem kawałek chleba i podała Dosi. Lecz dziewczynka umoczyła usta w kawie, chleba jednym zębkiem ugryzła i odsunęła wszystko od siebie.

— No, to widać jeść ci się nie chce — rzekła, uśmiechając się, nauczycielka.

— Owszem zjadłabym, ale co dobrego; a to wszystko... — i skrzywiła usteczka.

— Ej, moja Dosiu, doprawdy grymasisz! —

odrzekła panna Klementyna. — Lecz kiedy ci się jeść nie chce, to nie jedz.

I skończywszy podwieczorek, kazała posprzątać.

— Ale, ale, tylko niech pani tak się na mnie nie marszczy! — rzekła rozpieszczona dziewczynka i zarzuciwszy nauczycielce rączki na szyję, usiadła bez ceremonii na jej kolanach.

— Oj, pieszczoszko, pieszczoszko! — groziła panna Klementyna: — nic ci nie smakuje, dlatego że mamy niema w domu. Ale to nieładnie tak grymasić. Jest dużo dzieci, które prawdziwy głód cierpią, nie mając ani kawałka chleba.

— Proszę pani, ja to słyszę, jak często mówią, iż ktoś tam nie ma ani kawałka chleba; ale czyż to być może, żeby kto był taki biedny, żeby nawet suchego chleba nie miał za co kupić? — odrzekła Dosia, która, opływając w dostatki, nie rozumiała biedy.

— Oj, moja Dosiu! ileż to jest takich biednych na świecie, którzy nie mają ani za co kupić chleba, ani gdzie mieszkać i w co się ubrać! A zwłaszcza teraz w kwietniu, na wiosnę, kiedy zapasy zimowe już się wyczerpały, do nowych daleko, a w dodatku jeszcze i wody rzek wyleją, jak to się zdarza w tej porze, to nawet do zamożnych domów często zakofacze niedostatek. Wszak sama nieraz słyszałaś i widzisz, jak rodzice ubogich wspierają.

— Ależ ja wiem, wiem, że są ubodzy ludzie, tylko, tylko... oto doprawdy ja nie mogę zrozumieć, jak taki ubogi może jeść chleb suchy, bo jabym za nic w świecie suchego chleba jeść nie mogła. Oj, co nie, to nie!

I rozpięszczona dziewczynka znowu po swemu skrzywiła usteczka.

— Jak też ty, Dosiu, możesz mówić coś podobnego! Nie jadłabyś suchego chleba, bo masz na każde zawołanie ciasteczka i rozmaite przysmaczki; ale gdybyś była prawdziwie głodna, tobyś i suchy chleb ze smakiem przełknęła.

— Co nie, to nie! wołałabym być głodną!

I to mówiąc, dziewczynka, nie czekając już odpowiedzi nauczycielki, pobiegła do drugiego pokoju, żeby wyrzeć oknem, bo właśnie ktoś przed dom zajechał.

Byli to rodzice Dosi.

Dziewczynka ucieszyła się ogromnie, ujrawszy powracających. Tembardziej ją to ucieszyło, iż wiedziała, że rodzice mieli powrócić dopiero za cztery dni, a wrócili tego samego.

I nie szukając przyczyny powrotu, wybiegła do przedpokoju na ich spotkanie.

Rodzice uściskali wprawdzie swoją jedynaczkę, lecz nie cieszyli się wcale z tego, że wcześniej wrócili. Owszem, ze smutkiem i niepokojem opowiadali, że dojechawszy do najbliższego miasta, dowiedzieli się, iż rzeka Bug gwałtownie przybiera; że o parę mil od nich,

dużo wiosek jest już pod wodą, która coraz dalej się posuwa.

— Trzeba jak najprędzej zabrać Dosię, wziąć co najbardziej potrzebne i ze wszystkimi domownikami stąd wyjechać — rzekł ojciec, dając stosowne po temu rozkazy.

Matka tymczasem razem z panną Klementyną pakowały najpotrzebniejsze rzeczy.

Dosia chciała zabierać lalki, zabawki i t. p. graciki, lecz na to wszystko ani miejsca, ani czasu nie było.

Wśród tych przygotowań niebo, świecące pogodnie zachodzącym słońcem, zaciemniło się nagle, wiatr świstał przeraźliwie, drzewa w bliskości domu chyliły się na wszystkie strony, słowem, zerwała się gwałtowna burza; matka spojrzała w okno z wielkim niepokojem, a ojciec rzekł ze smutkiem:

— Otóż nowa bieda! Podczas takiej burzy niepodobna wyruszyć z domu.

Dosia nie mogła zrozumieć, czem rodzice byli tak bardzo zafrasowani, bo przecież nieraz bywała burza, a nikt się tem nie martwił. Widząc jednak rodziców zakłopotanych, i ona niepokoić się zaczęła, tembardziej, że ojciec na wszystkie strony porozsyłał ludzi, żeby dowiedzieli się, czy woda bardzo przybiera.

Tymczasem od wioski dochodziły jęki i płacze. Wkrótce płaczu nikt już nie słyszał.

Nasi znajomi.

Jęki, płacze, szum drzew, świst wiatru, wszystko przygluszył huk gwałtowny, jakiego Dosia jeszcze nigdy w życiu nie słyszała. Matka spojrzała z niepokojem na ojca, który wśród ciemności wyglądał oknem. Nagle huk się zwiększył, Dosia nie rozumiała wprawdzie niebezpieczeństwa, mimo to jednak ukryła główkę na matki kolanach i drżąc cała, płakać zaczęła.

— Jak to dobrze, żeśmy powrócić zdążyli! — odrzekł ojciec. — Teraz już dostąpić do domu niepodobna, woda nas naokół oblała.

— Czy tylko nas zupełnie z całym domem nie zaleje? — pytała trwożliwie Dosia.

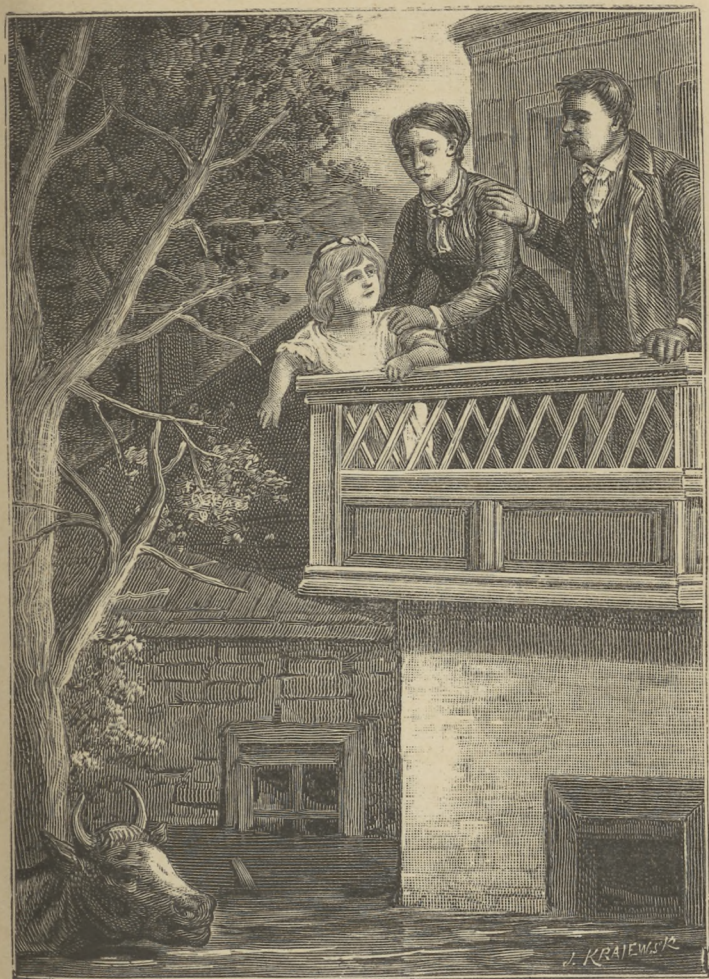
— Pomódlmy się, moje dziecko, żeby nas Bóg od tego nieszczęścia uchronił.

I dobra matka uklęknęła razem z Dosią do modlitwy, ojciec zaś uspokajał domowników, rozkazując przenosić najpotrzebniejsze sprzęty na piętro.

Woda bowiem z niezwykłą szybkością zalała ogród, zajęła już piwnice domu, z szumem się zalewała, i można się było spodziewać, że lada chwila oknami wdzierać się zacznie.

Chroniąc się przed ostatecznością, wszyscy uciekli na piętro.

Na piętrze były tylko dwa małe pokoiki, różniące się bardzo od pięknego mieszkania na dole. Teraz te pokoiki miały pomieścić rodziców z Dosią, pannę Klementynę i wszystkich domowników.



...widać było łeb krowy pasującej się ze śmiercią...



A wszyscy dziękowali Bogu, że życie mogli ocalić.

Dosia, przelękniona i splakana, późno już w nocy zasnęła na usłanem naprędcie, dość niewygodnem łóżeczku. Gdy się obudziła, dzień był jasny i pogodny, a panna Klementyna, która całą noc przesiedziała, nie rozbierając się, powiedziała Dosi, że woda zalała całe mieszkanie na dole, że mama przegląda zapasy żywności, które zdołano ocalić, a ojciec resztę rzeczy każe wyjmować z wody i prznosić na piętro.

Dosia prędyntko się ubrała, a wyjrzawszy oknem, z trwożą ujrzała tylko wierzchołki drzew, szamoczące się z wodą. Dolnego mieszkania wcale widać nie było, a woda była już blisko okien tych pokoików, które im teraz za mieszkanie służyły. Jak sięgnąć okiem daleko, daleko, — wszędzie była woda.

Owe pola, chaty i drzewa, które zwykle Dosia z okien widziała, zniknęły zupełnie. Młyn, który widać było ze dworu i słycać, jak bezprzestannie woda koła jego obracała, teraz znikł bez śladu.

Wszędzie woda i woda.

Na powierzchni tylko kołysały się deski, rozmaite sprzęty i zerwane dachy. Tam znowu widać było łeb krowy, pasującej się ze śmiercią i usiłującej dopłynąć do suchego miejsca. Tam płynął jakiś przedmiot podobny do dziecięcej kołbki, lecz zdala Dosia rozpoznać go nie mogła.

Gdzieniegdzie uwijały się łódki, śpieszące na ratunek zalanym wodą.

Wkrótce weszli rodzice Dosi, znużeni całonocnem czuwaniem.

— No, dzięki Bogu, żeśmy tę straszną noc przebyli! — rzekł ojciec. — Jeżeli woda przybierać nie będzie, to jakie kilka dni będziemy mogli przeżyć jako tako.

Przyniesiono śniadanie, lecz jakże ono było różne od tego, które Dosia zwykle dostawała! Mały stoliczek nie był nakryty, bo któż tam myślał o zabieraniu obrusów i serwet? Cukier podano na talerzyku, śmietanki i masła wcale nie było, bo zapasy utonęły, a z krowami, Bóg wie, co się zrobiło. Kto wie, czy ocalały? Zamiast zaś świeżej bułki i smacznych ciasteczek, leżał tylko bochenek chleba.

— No, ten bochenek musi nam na długo wystarczyć! — rzekła matka. — Trzy bochenki ocalono, a dwa oddałam służącym, którzy tak się napracowali, żeby chociaż część rzeczy z wody ocalić.

Dosia, widząc rodziców i pannę Klementynę, zasiadających do tego skromnego śniadania, zaczęła także swoją porcję spożywać. Gryzła więc jednym zębkiem kawałek suchego chleba i popijała czystą herbatką. Wkrótce jednak odsunęła śniadanie.

Obiad i wieczerza również były skromne, a Dosia niechętnie brała do ust proste potrawy.

Niewiele jednak zwracano na nią uwagi, bo każdy miał ważniejsze zajęcie. Usiłowano bowiem z jednego dolnego pokoju, w którym znajdowały się rzeczy najkosztowniejsze, wylać wodę i zabezpieczyć go od nowej powodzi.

Dopóki był dzień, Dosia wyglądała oknem.

Łódki pływały, lecz żadna ku nim się nie zbliżała. Oni tam bowiem na pięterku byli bezpieczni od zalania wodą, a było bardzo dużo nieszczęśliwych, którzy siedząc na dachach lub wierzchołkach drzew, potrzebowali śpiesznego ratunku. Dosia ze łzami w oczach patrzyła na ten smutny obraz i po raz pierwszy dopiero w życiu ujrzała, że mogą być ludzie biedni, którym zabraknie chleba i odzienia. Po raz też pierwszy szczerze żałowała tych wszystkich nieszczęśliwych i biednych, bo i jej zaczęło braknąć wielu codziennych potrzeb. I ona nie miała teraz do wyboru smacznych potraw i ładnych sukienek, łatwiej więc zrozumiała, jacy są biedni ci, którzy nie mają ani chaty, ani chleba.

Nie pojmowała ona wprawdzie jeszcze całego nieszczęścia, ze łzami jednak w oczach patrzyła na ten smutny obraz, dziękując Bogu, że ją razem z rodzicami od zupełnego zalania wodą ocalił.

Drugiego dnia już nie dziwiła się prostym potrawom, a małej kawałek suchego chleba bardzo jej smakował.

Wkrótce też i woda opadać zaczęła.

Było to wielkie szczęście, bo na pięterku tak się zapasy wyczerpywały, że matka wydzie-
lała jedzenie tylko po kęsku.

Nareszcie, jednego ranka, gdy się Dosia obudziła, wody już koło domu nie było, widać było drzewa. Dosia aż klasnęła w dłonie, lecz gdy lepiej oknem wyjrzała, ogromnie się znowu zasmuciła.

W ogrodzie dużo drzew i krzewów powyrywanych było z korzeniami, i piękny parkan otaczający ogród zupełnie był wywrócony; dachy z budynków w podwórzu pozrywane, a miejscami ściany pochylone.

Dalej, gdzie rozciągała się wioska, chaty wszystkie prawie były bez dachów, mniejsze zupełnie przewrócone, inne zaś były wodą oblane.

— Jak to okropnie! — zawołała.

I zakrywszy oczy rączkami, utuliła główkę na piersiach panny Klementyny.

— Tak, moje dziecko, nam straszno patrzeć, a pomyśl tylko, jak było ludziom, którzy w tych chatach mieszkali.

— Ach prawda, prawda! — rzekła Dosia, wpatrując się w opustoszałą okolicę. — A co się z nimi stało? — zapytała przerażona. — Czy...

I nie śmiała dokończyć zapytania.

— Bóg wie, moje dziecko! — odrzekła panna Klementyna. — Dużo zostało uratowanych, bo łodzie płynęły na pomoc, lecz też i wielu utonęło.

Ci, którzy uratowali życie, stracili całe mienie i nie będą mieli czem się wyżywić, ani też gdzie mieszkać.

— Och, moja droga pani, moja pani, jacy oni nieszczęśliwi! — wołała Dusia, która teraz nagle zrozumiała, co to jest brak chleba.

— Cóż to za szkoda, że i u nas niema już chleba, żeby im posłać! — mówiła z prawdziwym żalem Dusia.

— Tak, niestety, i u nas już niema chleba! Pociesz się jednakże — mówiła panna Klementyna: — ojciec, ocaliwszy pieniądze z wody, jak tylko zobaczył, że można wydostać się z domu, w tej chwili pośpieszył do miasteczka, ażeby zakupić żywności i podzielić ją pomiędzy tych nieszczęśliwych.

— Ach, jakież to szczęście! — zawołała Dusia. — Ale czemużem ja nie ocaliła swoich pieniędzy, byłabym je chętnie także oddała!

— No, Dosiu! — rzekła, wchodząc, matka — bardzo dużo rzeczy jest zniszczonych, ale twoja mała komódka jakoś ocalała.

— Ach, jak to dobrze! zaraz pójdę, bo tam są pieniądze.

— Cóż ci moje dziecko w tej chwili po pieniądzach? — zapytała ze smutkiem matka.

— Och, moja mamuniu! mnie nie po pieniądzach, ale chciałabym je oddać tym, którzy ocaleni z wody, nie mają teraz chleba.

— Nie możesz piękniejszego zrobić użytku,

moje dziecię! — rzekła matka z prawdziwą radością. — Zaledwie woda opadła, a już biedacy tłoczą się do domu, szukając ratunku.

— Mamuniu, to ja zaraz chciałabym im oddać te ocalone pieniądze.

— Nie na wieleby im się zdały, bo nawet za drogie pieniądze nie można dostać teraz chleba i innych zapasów żywności, woda bowiem wszystko zalała.

— Więc cóż zrobimy? — pytała niespokojnie dziewczynka.

— My — rzekła matka — żywić się będziemy zapasami, wyjętymi z wody...

— Ale mnie, mameczko, o nas już nie chodzi, tylko żeby tym ludziom dopomóc.

— Jak tylko ojciec powróci, oddasz mu swoje pieniądze, bo już w miasteczku są miłośni ludzie, którzy postanowili zbierać pieniądze, kupować w odległej okolicy żywność i rozdzielać ją między zgłodniałych.

— Ach, jakże to dobrze! O, moja mamuniu, ja nie rozumiałam dotąd, co to jest głód i bieda, i obojętnie na biednych patrzyłam, lecz teraz doskonale już rozumiem — mówiła Dusia z zażawionemi oczyma.

— Och, moje dziecię kochane! — rzekła matka — za tę powódź szczerze winniśmy dziękować Bogu, bo w sercu twojem obudziło się miłosierdzie. A ja dotąd zawsze się martwiłam, nie widząc nigdy, żebyś sama z własnej woli dzieliła się z biednymi.

— Tak, te kilka dni wielką w Dosi uczyniły zmianę — rzekła panna Klementyna.

— Och, tak, ja już teraz rozumiem, że można jeść chleb suchy, a nawet, że może go zabraknąć! — mówiła dziewczynka, ze wstydem spuszczać oczy, przypomniała sobie bowiem dawniejszą rozmowę z panną Klementyną. — Teraz, teraz, mateczko, ja już wszystkiego będę oszczędzała i nigdy nie będę grymasiła w jedzeniu; a jak dostanę co od mamy lub tatki, to chętnie się podzielę z takimi biednymi — i wskazała rączką błotnistą drogę, po której szła gromadka wynędzniałych ludzi.

I rzeczywiście w Dosi zaszła zupełna zmiana.

Dotąd nie rozumiała co to jest bieda; teraz doznawszy braku wielu rzeczy, z powodu powodzi, umiała pojąć nędzę i biedę. Oszczędza sukienek, nie grymasi w jedzeniu, a gdy usłyszy o biedzie, pierwsza oddaje uzbierane pieniądze, lub też prosi mamy, żeby pozwoliła darować biednej dziewczynce jaką starą sukienkę.

Rodzice, patrząc na nią, nie żałują strat zrządzonych przez powódź, lecz dziękują Bogu, że w córeczce ich zaszła taka zmiana na dobre.

Panna Klementyna zaś nie potrzebuje Dosi tłumaczyć, co to jest bieda, bo dziewczynka w towarzystwie swej nauczycielki często chodzi, aby tę biedę wspomagać.

Stasie gniazdo. /

Dzień był prześliczny, słońce złotymi promieniami oświecało łąki i drzewa, powietrze nęciło świeżością i wonią, drzewa owocowe okryte były kwiatem, a krzewy, zrzucając kwiat, wychylały drobniutki zawiązek owocu.

Było pięknie i wonno na Bożym świecie, tak jak zwykle bywa w maju. W ogródku, otaczającym niewielki dworek, pełno było wiosennych kwiatów.

Fijołek, wtuliwszy maleńkie kwiatki pomiędzy listki, był prawie niewidzialny, a jednak każdy wiedział o jego życiu, bo swoją prześliczną wonią przewyższał wszystkie inne kwiaty, i stokrotki białe i różowe wyglądały z pomiędzy zielonych listków.

Na łące, poza ogrodem, również było pełno kwiecica. Białe kwiatki, górując nad innymi, pochylały na wszystkie strony maleńkie swe główki, jak gdyby dziękując Stwórcy, że je powołał znowu do życia, dając w dzień ciepłe słońko,

a w nocy chłodną i wilgotną rosę. Muszki brzęczały w powietrzu, robaczki, siedząc na młodziutkich listkach, wygrzewały się na słońcu; pracowite pszczołki uwijały się ochoczo, a w krzakach kiedy niekiedy odzywał się radosny i dźwięczny głos ptasząt.

Słowem, wszystko krzątało się na Bożym świecie, radośnie śpiewając przy pracy.

Nawet wietrzyk, poruszający listkami drzew, tak ładnie i delikatnie szumiał, jak gdyby wiosenną śpiewał piosenkę.

Razem z ptaszkami i muszkami, z drzewami, trawką i wietrzykiem cieszył się wiosną dziesięcioletni Józio i Marynia, młodsza jego siostrzyczka.

— Ach, jakie one prześliczne! — mówiła Marynia, zrywając białe kwiatki na łące.

— Czekaj, ja ci dam jeszcze piękniejszych — rzekł Józio z powagą starszego brata. — Patrz, na jednej gałązce jest ich więcej, aniżeli w całym twoim bukiciele!

— O, ja wiem, to ładne kwiatki, i pachną, bo to czeremcha. Ale one rosną wysoko, a mama nie pozwala wchodzić na drzewa — rzekła Marynia, przypatrując się zdaleka kwiatkom.

— Ech, ja też wysoko wchodzić nie będę; tam w środku są niskie gałęzie — mówił Józio, rozchylając pierwsze gałązki, a Marynia ciekawie przypatrywała się, jak brat, wspiąwszy się na palce, usiłował zerwać rozkwitłą czeremchę.

Chłopczyk coraz głębiej wchodził pomiędzy rozrosłe gałęzie krzaka; wtem ze środka zerwał się ptaszek, potem drugi, i obydwaj kwiląc żałośnie, zaczęły krążyć dokoła.

— Och, moje śliczne! moje biedne ptaszęta! — wołała Marynia, patrząc na krążące ptaszki. — Oj, Józiu, Józiu, coś ty zrobił! coś zrobił! ja nie chcę już kwiatków — powtarzała zasmucona dziewczynka.

— No i cóż takiego? — rzekł szorstko Józio. — Jaka też to z ciebie niewdzięczna dziewczynka! chcę ci narwać pięknych, pachnących kwiatów, a ty jęczysz: „Coś zrobił! coś zrobił!“ — dodał chłopiec, przedrzeźniając siostrę.

— Ale ja już nie chcę kwiatów! — wołała dziewczynka — usuń się tylko stamtąd, żeby te biedne ptaszki mogły do gniazdka powrócić.

— Nie bój się, nie bój! one powrócą, trafią doskonale; ja zaraz stąd wyjdę, tylko muszę zobaczyć, gdzie jest gniazdko! — mówił chłopiec, rozsuwając coraz bardziej gałęzie.

— Daj pokój, mój Józiu! — prosiła Mania, — patrz, jak te biedne ptaszki kwilą żałośnie, jakie niespokojne, same nie wiedzą, co począć! O, patrz, jeden usiadł na najwyższej gałązce... teraz zeskoczył na niższą, a drugi wciąż krąży i krąży dokoła.

Lecz Józio, jakby nie słyszał wołania siostry, wdzierał się w głąb krzaka, rozchyłał gałązkę po gałązce, aż nareszcie zawołał radośnie:

— Maryniu, Maryniu! pójdz tylko prędko! tutaj, bliżej! zobaczysz prześliczne gniazdko.

I to mówiąc, jedną ręką trzymał rozchyłone gałęzie, a drugą podawał siostrze, chcąc ją w głąb krzaka wprowadzić.

Marynia, chociaż żal jej było spłoszonych ptaszków, chciała jednak zobaczyć gniazdko, którego jeszcze nigdy w życiu nie widziała. Wsuwała się więc coraz więcej pomiędzy gałęzie, a biedne ptaszki, zaniepokojone nowym szelstem, przelatywały z gałązki na gałązkę, coraz żałośliwiej świergocząc; z gniazdka zaś wychodziło cichutkie, lecz jęklive świergotanie...

— Patrz, patrz, Maryniu... tutaj, och, pomiędzy temi dwiema rozłożystemi gałęziami, tam na dole, tam w środku krzaka! — wskazywał Józio.

— Ach, jakie śliczne gniazdeczko! jak ładnie uwite! — mówiła cichutko dziewczynka, opierając się na ramieniu brata i spoglądając na wskazane miejsce.

— Ach, ale patrz, tam są i ptaszki! Och! mój Boże, jakie one maleńkie, ledwie się ruszają... Och, patrz, patrz! podnoszą do góry swoje żółte maleńkie dziobki! — dodała.

— Czekaj, czekaj, dam im muszkę! — rzekł Józio.

I uchyciwszy maleńką muszkę, rzucił do gniazdka.

Lecz muszka, wyswobodziwszy się z rąk

Józia, otrząsnęła skrzydełka i poleciała w swoją stronę, a małeńkie pisklęta napróżno podnosiły łebki, otwierając żółte dziobki; pożywienie nie wpadało.

— Daj pokój, Józiu! — mówiła Marynia — pójdźmy stąd, to stare ptaszki przyjdą i jeść im dadzą.

— Och, one zaraz przylecą, jak tylko my stąd odejdziemy! — rzekł Józio.

— Jest pięcioro małych w gniazdku, niezadługo do nich przyjdziemy! — mówił, odchodząc.

— Tak, tak, przyjdziemy! — powtórzyła Marynia, wysuwając się z krzaka. — Poproszę mamy, to nam da trochę kaszki, te ptaszki takie małe z pewnością jeść będą kaszkę.

— Co też ty znowu z kaszką! Ptaki wolą pszenicę — rzekł poważnie Józio.

— No, to dobrze, to im przyniesiemy jutro pszenicy; ale jakby to zrobić, żeby niespłoszyć tych starych ptaszków? — mówiła, namyślając się Marynia.

— To i cóż? chociaż je się spłoszy, to znowu powrócą; och, widzisz, widzisz, już ich нема na gałęzi! Och, och, patrz, jak się wsuwają w głąb krzaka! — mówił brat, wskazując ptaszki, które uszczęśliwione, że już nikt im nie przeszkadza, powróciły do gniazdku.

— Jak tylko te ptaszki cokolwiek podrosną, to zaraz je zabiorę — rzekł po chwili Józio.

— Co na to, to nie pozwolę! — odparła Ma-

rynia stanowczo, biorąc za rękę brata, jakby mu tym ruchem chciała przeszkodzić w zabraniu gniazdka.

— Paradna jesteś ze swoim: „*nie pozwolę!*“
Ja gniazdko znalazłem, a więc ono jest moje —
mówił chłopiec.

— Wcale nie twoje, tylko ptaszków; to one je zrobiły — mówiła Marynia, stając w obronie biednych mieszkańców gniazdka.

— Ech, co ty tam wiesz! cóż, że je zrobiły, ja też gniazdka nie wezmę, tylko ptaszki, gdy podrosną. Wezmę, wsadzę do klatki, dam jeść, pić i będę miał ptaszki w domu, w pokoju.

— Tak? — mówiła na wpół przekonana Marynia. — Ale, bo widzisz one będą tęskniły i do rodziców i do gniazdka i do swobody...

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Józio — tobie to zaraz Bóg wie co do głowy przychodzi; oj te dziewczyny, te dziewczyny, to takie rozmażane! Ona już gotowa oplakiwać tych ptaszków, którym się nic złego nie stanie! Czy tobie się zdaje, że ptaszki tęsknią?

— Nie? — spytała Marynia — a mnie się zdawało... widzisz, ja myślałam... — mówiła, namyślając się, dziewczynka.

Nie umiała jednak jasno i zrozumiale wytłumaczyć swych uczuć. Wiedziała to tylko, że jej byłoby bardzo źle, gdyby ją kto zabrał z domu od ukochanych rodziców, a przecież i ptaszki są małe, i one mają rodziców, i one ich z pewnością kochają.

Józio jednak był najwidoczniej innego zdania, a chociaż bardzo kochał rodziców, nie zdawało mu się, ażeby ptaszki również swoich kochały.

— Jak to będzie przyjemnie mieć takie ptaszki w klatce! Chociaż deszcz padać będzie, albo nawet zimą, ptaszki nam śpiewać będą w pokoju.

— Doprawdy? — pytała z niedowierzaniem Marynia.

— Rozumie się. Jakżeś ty zabawna! przecież, gdy ptaszkom będzie ciepło, nie będzie im ciepło do gniazdka, to czemużby śpiewać nie miały?

— Tak, to prawda! — odrzekła na wpół przekonana Marynia. — Że im na niczem zbywać nie będzie, ja już za to ręczę — dodała — codzień przyniosę pszenicy, ja wiem, tatko mi da, gdy poproszę, a oprócz tego dam im bułki, cukru, wody...

— Tylko nie zanadto, proszę cię bardzo, moja Maryniu, — mówił Józio z powagą — bo jak zaczniesz im dogadzać, to się ptaszki rozchorują i śpiewać nie będą.

— No, no, nie bój się! już ja będę wiedziała, jak się z nimi obchodzić.

— Ale nim je zabierzemy, trzeba także o nich pamiętać i przynosić jedzenie, żeby jak najprędzej wyrosły — dodał Józio.

— Och, już ja z pewnością o tem nie zapomnę! — odrzekła mu siostra.

— Ani ja! — upewniał chłopczyk.

I uradowani odkryciem gniazdka, powrócili do domu.

Józio i Marynia, tak, jak sobie przyrzekli, codziennie przynosili ptaszkom jedzenie, sypali około krzaka, a nawet Józio tuż blisko gniazdka zawiesił małą deseczkę i na niej sypał ziarno, żeby ptaszkom było łatwiej podawać je piskletom.

Ptaszki, widząc, że dzieci nic im złego nie robią, oswoiły się z niemi, już nie tak trwożliwie się zrywały i nie świergotały tak żałośliwie, jak z początku.

Dzieciom upływały dni swobodnie w ładnym dworku, pod opieką rodziców, i ptaszkom również było dobrze w zacisznem gniazdeczku.

A wiosna tak na ptaszki, jak i na dzieci, rozrzucała swe dary, zsyłając coraz to więcej kwiatów, ciepła, słońca i wonnej a wilgotnej rosy.

I ptaszki i dzieci rozwijały się i rosły.

Jednego poranku, gdy Józio i Marynia przybyli do gniazdka, jedno w niem było tylko pisklę. Snadź najśłabsze i najmłodsze, nie śmiało jeszcze podlecieć. Dwa inne siedziały już na gałązkach, przekrzywiając główki na wszystkie strony i przypatrując się rodzicom, jak swobodnie około krzaka latały. I one chciały

Nasi znajomi.

podlecieć do góry, wskoczyły nawet na wyższe gałązki. Zobaczywszy zbliżające się dzieci, zatrzepotały skrzydełkami, lecz frunąc wysoko nie miały jeszcze dość siły.

— Oho, trzeba się mieć na baczności! — zawołał Józio — nasze ptaszki gotowe nam się wymknąć i w świat ulecieć.

— To dwa dopiero, a ten trzeci siedzi sobie w gniazdku spokojnie — zauważyła Marynia.

— A tak, zapewne, możebyś chciała, żebym czekał, aż i ten trzeci z gniazdkka uleci? — odrzekł Józio. — Ten trzeci niech sobie zostanie, a te dwa śliczne ptaszęta dziś jeszcze wieczorem pójdą do klatki.

— Jak to dziś? — pytała Marynia, która pragnęła wprawdzie mieć ptaszki w pokoju, lecz smutno jej było pozbawiać ich swobody.

— A rozumie się, że dzisiaj — odparł bracišek. — Jak tylko zasną, po zachodzie słońca, zaraz przyjdziemy tutaj. Ty zostaniesz zdala, a ja cichutko podsunę się, przykryję czapką gniazdko i ptaszki zabiorę.

— Biedne ptaszyny! — westchnęła Marynia.

— Maszże tobie! — rzekł z pewną niecierpliwością chłopiec — ja chcę jej zrobić przyjemność, a ona wzdycha nad ptaszkami, jak gdyby im kto co złego chciał zrobić. Przecież tym ptaszkom będzie u nas bardzo dobrze, niczego im nie zabraknie.

— Że nie zabraknie, to już ja zaręczam! — rzekła Marynia — ale...



— Biedne ptaszyny! — rzekła Marynia.



— Ech, nudna jesteś ze swoim ale! — przerwał jej Józio i pobiegł do domu, a za nim podążyła Marynia.

Po południu zrobiło się chłodno i chmurno, deszcz drobny padał, a słońko skryło się za chmurę.

Wieczorem, Józio, nie mówiąc nic Maryni, pobiegł na łąkę. Pocichu przysunął się do krzaczka i rozchylił gałęzie. Jeden ze starych ptaszków siedział w gniazdku, otulając sobą młode ptaszyny, drugi na najbliższej gałązce czuwał nad swoją małą rodziną.

— Moje śliczne ptaszyny — myślał sobie Józio — jutro wam będzie lepiej, cieplej u mnie w klatce, aniżeli tutaj w gniazdku, deszcz na was padać nie będzie.

I tak myśląc, delikatnie nakrył czapką całe gniazdko.

Ptaszek siedzący tuż na gałęzi, zerwał się trwożliwie, a skacząc z gałązki na gałązkę, świergotał żałośnie. Żałośniej jeszcze odpowiadały mu ptaszki nakryte czapką w gniazdku.

— Cyt, cyt, ptaszyny! nie wam się złego nie stanie! — mówił Józio pieszczotliwie, kładąc rękę pod czapkę i zabierając dwa większe pisklęta.

— A ty malcze, zostań sobie w gniazdku! — rzekł chłopiec, i nie zważając na żalosne świergotanie dwóch starych ptaszków i niespokojne szamotanie się piskląt w czapce, zaniósł je do domu.

— No, śpijcie sobie teraz spokojnie — rzekł, wpuszczając je do przygotowanej klatki — macie tu ciepłe i miękkie gniazdeczko.

Lecz ptaszki nie usłuchały jego rady. Najpierw niespokojnie latały po klatce, przeskakując z prętka na prętek, potem siadały wprawdzie w gniazdku, przytuliwszy się do siebie, lecz co chwila wychylały główki trwożliwie.

— Biedne ptaszyny! — rzekła Marynia, gdy jej brat ptaszki pokazał.

— Ach, nudna jesteś ze swoim: „*biedne ptaszki!*“ — rzekł niecierpliwie Józio. — Gdy jutro zaczną śpiewać i skakać, to zapewne jeszcze i wtedy powtórzysz znowu: *Biedne ptaszki!*

I postawił klatkę na szafce.

Nazajutrz rano postawił znów klatkę na oknie, nasypał pszenicy, postawił w małej szklaneczce wody; Marynia między prętki włożyła kawałek bułki i listków sałaty; klatkę obstawiła kwiatkami; mimo to, ptaszki jedzenia zaledwie dotknęły, a zwiesiwszy główki, smutno na pręcikach siedziały.

Lecz i w całym dworku nie było wesoło. Często pocichu długo z sobą rozmawiano, a gdy dzieci do rodziców się zbliżyły, tak ojciec, jak matka, smutno na nich patrzali.

Dzieci nie mogły zrozumieć, co się stało.

Ojciec i mama zawsze tak byli weseli, tak oboje oboje pracowali, tak szczerze się śmieli z żartów Józia i Maryni, a teraz tacy są smutni!

Raz nawet, gdy Marynia zapytała się mamy, czemu się teraz nigdy nie śmieje i nie bawi z nimi, jak dawniej,—matka ze łzami w oczach ucałowała dzieci, kazała im pobożnie westchnąć na intencję rodziców, a ojciec wyszedł do drugiego pokoju.

W nocy nagle dzieci się przebudziły. W drugim pokoju było światło, ruch w całym dworku panował, jakieś obce głosy dochodziły ich uszu. Marynia w pierwszej chwili myślała, że jej się śni tylko. Wtem ujrzała oboje rodziców w podróżnym ubraniu stojących przy łóżeczku.

— Mamo, ojczulku! — zawołała.

I pochylonej nad nią matce zarzuciła ręce na szyję.

— A to co? — wołał przebudzony Józio, otwierając oczy szeroko. — Ojczulku! matuniu! co to znaczy? Rodzice wyjeżdżają? — pytał chłopiec przełękły.

— Tak, mój synu! — rzekł ojciec zmienionym głosem. — Wyjeżdżamy na długo, na bardzo długo!

— A my? a my? — wołały dzieci.

— Wy zostaniecie, wam się nic złego nie stanie. Ciocia was weźmie do siebie; u niej wam będzie bardzo dobrze.

— Och, mój Boże! mój Boże! — szlochała Marynia.

— Ja nie chcę do cioci, ja chcę jechać z ojcem i z mamą! — wołał Józio, zanosząc się od płaczu.

— No, no, dosyć tego! — zawołał szorstkim głosem jakiś pan nieznajomy we drzwiach stojący — trzeba jak najprędzej wyjechać Prędzej, prędzej, niech się państwo żegnają! — nalegał nieznajomy.

— Tak, tak! trzeba wyjechać! — zawołali rodzice.

I uściskawszy raz jeszcze dzieci, wyszli szybko z pokoju, a za nimi ów pan, który ich do wyjazdu przynaglał.

— Och, moja mamó! mój ojczé! — wołały dzieci za odchodzącymi.

I okrywszy się naprędce, wybiegły do sieni.

Nie powstrzymało to jednak rodziców, wsiedli szybko na bryczkę, konie ruszyły, a turkot odjeżdżającej bryczki zagłuszył płacz Józia i Maryni.

— Nie płaczcie, dzieci kochane! — mówiła do nich ciocia, która właśnie poprzedzającego wieczoru przyjechała. — Rodzice za parę lat powrócą, a tymczasem ja was do siebie zabiorę.

I tuląc splakane dzieci, ubierała je do podróży, obiecując przytem różne przysmaczki i przyjemności.

Słonko ledwie zaczęło wschodzić, kiedy Józio i Marynia wyjechali z dworku. Ciocia była dla nich bardzo dobrą; jechali piękną kareta, jaką dotąd nigdy jeszcze nie jeździli, a jednak oboje byli smutni, i pieszczota ciotki nie mogła ich łez uspokoić.

U cioci dwór był daleko piękniejszy, anizeli ich dworek, ogród większy i całe otoczenie daleko wygodniejsze i bogatsze od tego, w którym dzieci dotąd się wychowywały. Ciocia dogadzała im i pieściła, a jednak tak Józio, jak Marynia ciągle byli smutni i często płakali, bo byli zdala od ukochanych rodziców.

Mimo całej wspaniałości i wygody, tęsknili w pięknym dworze do swojego małego dworku. Tęsknili do swego skromnego pokoiku, do ogródka, w którym każdy krzaczek i każde drzewko było im znajome, z każdym witali się codziennie, znali prawie każdy nowo przybywający listek i każdy świeżo rozkwitły pączek.

I ptaszków tutaj było dużo; pięknie one śpiewały, lecz tak dużo było tego śpiewu i gwaru, że dzieci nie umiały rozróżnić świergotania znanych sobie gatunków ptaków.

Ciocia, chcąc uprzyjemnić dzieciom pobyt u siebie, postawiła w pokoju Maryni klatkę z dwoma prześlicznymi kanarkami. Dziewczynka codziennie wymiatała klatkę, dawała kanarkom siemię i wodę, stroiła zielonemi gałązkami ich małe mieszkanko, bawiąc się ze swoimi wychowaniami.

Józio, który wolne od nauki chwile najczęściej przepędzał w ogrodzie, zobaczywszy raz siostrę, jak pilnie zajmowała się kanarkami, teraz dopiero przypomniał sobie ptaszki, schwytane właśnie na parę dni przed wyjazdem.

— Mój Boże! — rzekł smutnie — co się też to z naszymi stało ptaszkami?

— Wypuściłam je, wyjeżdżając — rzekła Marynia.

— Cożeś najlepszego zrobiła! jam się tyle natrudził, żeby je złapać! — zawołał chłopiec.

— Ach, gdybyś był widział, jak one radośnie zatrzepotały skrzydełkami, jak ładnie zaświergotały i najpierw krążyły, a potem poleciały ku łączce. Jestem pewna, że wkrótce odnalazły krzaczek, w którym było ich gniazdko. Ach, jakie one szczęśliwe! — dodała dziewczynka.

— Prawda, prawda, Maryniu kochana! — rzekł Józio, siadając przy siostrze — jakie one szczęśliwe! Odnalazły swoje gniazdo. Ale jaki ja jestem okrutny, że je zabrał z tego gniazdu! I my zostaliśmy bez rodziców, i nas zabrano z naszego gniazda. Teraz widzę dopiero, jakim byłem okrutnikiem dla tych biednych ptaszków! — mówił chłopiec, naprawdę rozrzewniony i zawstydzony.

Teraz dopiero poznał, co to jest tęsknota do rodziców i rodzinnego gniazda, gdy jej sam doświadczył. Oparł więc główkę o okno i patrzył smutno na zieleniejące i rozkwitłe przed nim krzaki.

— Nie smuć się, braciszku kochany! — rzekła, zbliżywszy się do niego, Marynia. — Może też Bóg da, że i rodzice powrócą, i my do dworku wrócimy. Ja się tak szczerze codzień o to modłę...

— Tak, ale Bóg pewno za to nam zabrał rodziców, zem ja te ptaszki uwięził...

— Ha, może... ale widzisz — pocieszała go Marynia — mama zawsze mówiła, że kto tylko żałuje tego, że źle zrobił i pragnie się poprawić, temu z pewnością Pan Bóg przebaczy...

— Och, ja z pewnością żałuję! — rzekł Józio. — Żal mi tych ptaszków i wszystkich, którzy są od rodziców daleko. Och, ja już nigdy nie nikomu złego nie zrobię! — mówił z całą szczerością chłopiec. — Ale i te ptaszki trzeba wypuścić — dodał, przysuwając się do klatki.

— Józiu, daj pokój! — zawołała Marynia, chwytając brata za rękę.

— A to dlaczego? wszak i te radeby pobujać swobodnie? — pytał chłopiec zdziwiony.

— Tak, z pewnością, ale trzebaby je odwieźć daleko, bardzo daleko! — tłumaczyła siostra. — Ciocia mówiła, że kanarki z bardzo daleka, z ciepłych krajów do nas są sprowadzane, i gdyby je wypuścić u nas, to nie umiałyby sobie znaleźć pożywienia. Zmarniałyby z głodu, a zresztą i ptaki nasze zarazby je zadziobały, bo nie znają takich żółtych towarzyszków. Ciocia mówiła, że te kanarki wychowały się w klatce, nie czują już tego i nie rozumieją, że można bujać swobodnie, że one wprawdzie są biedne, bo zdaleka od swoich, ale właśnie dlatego powinniśmy się nimi, jako sierotkami opiekować.

— Och, tak, to prawda! — rzekł Józio — one są bardzo biedne; masz słuszość, Maryniu, kanarki to sierotki; będziemy im bardzo dogadzali, ażeby nie czuły, iż są zdaleka od swojej rodzinnej ziemi. Ale naszych ptaszków nigdy już, nigdy nie zamknę do klatki!

I to mówiąc, dobry chłopczyzna razem z siostrą stroił klatkę zielonością.

W parę dni ciocia zawołała dzieci i oznajmiła im, że odebrała bardzo radosną wiadomość.

Rodzice Józia i Maryni donosili, że nie będą potrzebowali jechać nigdzie dalej, że interesu ukończą w Warszawie i za kilka miesięcy powrócą.

Dzieci na tę wiadomość nieposiadały się z radości. Od owej chwili rachowały już tylko dni do powrotu rodziców. Lecz niestety, skończyła się wiosna, przeszło lato, jesień i zima, a dzieci nie mogły się doczekać powrotu ukochanych rodziców.

W rok dopiero, gdy druga nadeszła wiosna, ciocia znów radosną powitała ich wieścią, mówiąc, że nazajutrz pojedą do dworku, aby tam oczekiwać rodziców.

Dzieci z radości całą prawie noc nie spały. Dzień robił się wcześniej, jak to zwykle w maju, na wiosnę.

Dzieci z pierwszym brzaskiem dnia były gotowe do drogi, i tak samo, jak przed rokiem, jechały znów obok cioci w ładnej karecie. Ale

teraz one nie zważały, co się koło nich dzieje, tylko wychylały co chwila główki, żeby zobaczyć, czy dworku jeszcze nie widać. Po całodziennej podróży powitały dworek, a na drugi dzień przybyli ukochani rodzice.

Co tam było radości, gwaru, łez i śmiechu, to trudno opowiedzieć.

Ptaszki świergotały, siadając na świeżo rozwijających się gałązkach bzu i czeremchy, i zdawało się, że zarówno z Józkiem i Marynią podzielają ich radość.

Józio pobiegł do znajomego sobie krzaka. Znalazł w nim, jak i rok temu, gniazdko, lecz nie ruszył piskląt, nie płoszył starych ptaków. Owszem, codziennie oboje z Marynią przynosili im ziarno, strzegąc nietylko znajomego sobie krzaka, lecz wszystkich innych, gdzie tylko domyślali się, że jest ptasie gniazdo. Chłopców zaś wiejskich Józio pilnował, żeby gniazd nie psuli, opowiadając im, jakie to jest nieszczęście, gdy kto musi opuścić rodzinne gniazdo i rozdzielić się z ukochanymi rodzicami.

VI.

Na łące.

Leos i Julcia wychowywali się w Warszawie. Co rok wyjeżdżali oni z rodzicami na letnie mieszkanie za rogatki miasta, lecz o wsi prawdziwej nie mieli najmniejszego wyobrażenia.

Dworek bowiem, w którym zwykle mieszkali przez lato, stał wpośród niewielkiego lasku, blisko stacyi kolei żelaznej. Około dworku nie było ani ogrodu, ani łąki, nie było też nigdzie blisko pola zasianego zbożem. Słowem, ten dworek i lasek nie był taką wsią, o jakiej często czytawali w książkach.

Bardzo się więc ucieszyli, gdy jednego dnia mama im powiedziała, że wujaszek zaprosił ich do siebie na wieś na parę miesięcy.

— Ach, co za szczęście! co za szczęście! — wołała, klaszcząc w ręce dziewięcioletnia Julcia — zobaczę taką wieś prawdziwą, jaką często widziałam namalowaną na obrazku.

— Prawda, mamó, taką samą? O, taką? — dopytywała się dziewczynka, pokazując matce

obrazek w książce, gdzie był namalowany dworek z ogrodem i łączką, na której się pasła krowa.

— Och, jeszcze daleko, daleko piękniejszą zobaczysz wieś! — odrzekła jej matka.

— Słyszysz, Leosiu? mama powiada, że ta wieś dokąd pojedziemy, to jeszcze daleko piękniejsza od tej, o, patrz!

I znowu bratu pokazywała obrazek.

— Rozumie się, że tamta musi być piękniejsza! — rzekł z powagą starszy braciszek. — Ta tylko namalowana, a tamta prawdziwa. Tutaj namalowana tylko jedna oto krowa, a na wsi jest krów bardzo dużo, i do tego żywych. Są i małe cielątka. Chodzą, jedzą, skaczą, o, tak!

I chłopiec uradowany wyjazdem, stanął na czworakach, a potem podskoczył wesoło.

— Ale czy te krowy aby nie bodą? — pytała Julcia, patrząc z pewną bojaźnią na ogromne rogi namalowanej krowy.

— Ale jak, buu, buu! — straszył chłopiec.

— No, no, daj pokój, Leosiu! bo widzisz ja bym tak chciała pobiegać po łące i narwać kwiatów, a jeżeli bodą...

— E, dzieciak jesteś! — mówił butnie chłopiec — co to krowom może szkodzić, że sobie będziemy biegali po łące? Zresztą nie na wszystkich łąkach krowy się pasą.

— Nie? a ty skąd wiesz? — pytała dziewczynka.

— Czy ja tam wiem skąd, ale wiem. Ale to nic, co mi tam krowy! ale konie, żrebacki. Ha! jak dopadnę którego, to zaraz będzie: *Patataj, patataj!* wio!

I znowu Leoś, wsiadłszy na kij, biegał około pokoju.

I tak dzieci zawczasu cieszyły się wsią, na którą miały wkrótce wyjechać.

Nareszcie nadszedł ten dzień upragniony, i dzieci razem z rodzicami wyjechały z Warszawy.

Było to w połowie czerwca.

W Warszawie już było duszno i gorąco, kamienie i chodniki były rozpalone od słońca, na ulicach pełno kurzu, a nawet w ogrodzie Saskim liście drzew i krzewów były często szarym kurzem pokryte. Tutaj, gdy dzieci już wyjechały daleko za miasto, wietrzyk ciepły i wonny je owionął; drzewa i krzewy były świeże, jasno zielone, jak gdyby ich listki tylko co się rozwinęły. Zdala zaś od drogi zboże, kołysane wietrzykiem, kłaniało się w tę i ową stronę, jak gdyby tym ukłonem chciało Leosia i Julcię powitać.

Dzieci chciały co chwila zatrzymać się i wysiadać.

Julcię nęcił kwiatek, który ujrzała w zbożu i rada byłaby go zerwać; Leoś zobaczył prześlicznego motyla, któremu miał ochotę się przypatrzeć.

W lesie znów ujrzeli zdala rumieniące się już poziomki i jagody, a nisko na mchu i liściach pełno było przeslicznych świecących muszek i robaczków. I one cieszyły się z pięknego dnia czerwcowego, wygrzewały się swobodnie na słońcu, a ptaszki zdala przyśpiewywały. Dla dzieci wszystko to było nowością.

Nigdy jeszcze tyle zieloności, tyle robaczków i muszek kręcących się nie widziały.

Nie dziw więc, że chciały się z tem wszystkim bliżej zapoznać. Rodzice jednak nie pozwolili wysiadać z bryczki, musiały więc siedzieć spokojnie, czekając cierpliwie, aż przyjadą do wujaszka.

Dworek wujaszka był niewielki, daleko mniejszy od tego domu, w którym dzieci mieszkały w Warszawie. Wprawdzie podobny był do tego, w którym zeszłego roku latem mieszkały, lecz tutaj w tym dworku mieszkał tylko wuj z rodziną, domownikami i przybyłymi gośćmi. W tym zaś domu w Warszawie mieszkało dużo ludzi, którzy się z sobą nie znali, a nawet w owym dworku w lesie mieściło się latem również kilka rodzin.

Około dworku wuja był niewielki ogród. W ogrodzie kwitł jaśmin, róże, rezeda i inne kwiaty czerwcowe, dalej był sad, w którym było pełno krzewów i drzew owocowych. Lecz owoce były jeszcze niedojrzałe, a dzieci po raz pierwszy dopiero ujrzały na drzewie niewielkie

zielone wisienki, malutkie zawiązki gruszek i jabłek, z których w sierpniu i wrześniu takie piękne miały wyrosnąć owoce. Na krzakach wspaniałe wyglądały grona porzeczek i duży pękaty agrest, który, jak im wujaszek mówił, za parę tygodni, w lipcu, będzie dojrzały. Już to wujaszek wszędzie dzieci oprowadzał i cieszył się, że je wszystko zajmowało.

Po kilku dniach pobytu znały już całe otoczenie dworku. Były w podwórzu gospodarzem, widziały krowy i cielątka, konie i źrebaki; widziały drób, czyli ptactwo domowe; zaznajomiły się doskonale z psami, które się do nich łąsiły, lecz nie były jeszcze na łące.

Nareszcie jednego dnia wuj zabrał je z sobą, mówiąc, że właśnie teraz w końcu czerwca koszą łąki, i że ta praca bardzo dzieci zaciekawi.

Dzieci oddawna wiedziały, że wszyscy ludzie czy to na wsi, czy w mieście, pracować muszą. Widziały, jak ojciec pracował, pisząc przy biurku, widziały przechodząc, jak w niskim domku szewc kuł młotkiem i robił trzewiki, a krawiec schylony szyl suknie. Widziały, jak prawie na każdej ulicy w Warszawie wznoszą się domy, a ludzie przy nich ciężko pracują, lecz nie widziały jeszcze nigdy pracujących około robót wiejskich.

Na łąkę trzeba było iść po wązkich drożynach, czyli miedzach pośród zboża; parę razy

przechodziły po wąskiej kładce, czyli desce, rzuconej wszerz rowu; raz nawet wuj musiał przenieść swoich małych gości, bo kładki nie było. Aż oto zdala na łące ujrzeli uwijających się wielu ludzi.

Jedni kosili trawę, inni opodal zgrabiali już wyschlą i układali ją w kopki.

Julcia, zobaczywszy, jak razem z trawą ścinali i kwiaty, ogromnie się dziwiła, czemu wuj pozwala niszczyć tyle kwiatów. A nawet nie mogła zrozumieć, poco ścinają trawę, kiedy łąka dalekoby ładniej wyglądała, gdyby trawa tak wysoko, wysoko wyrosła.

Lecz wuj wytłómaczył dzieciom, że te kwiatki i ta trawa skoszona i wysuszona daje doskonałe siano, które zimą jest wybornem pożywieniem dla krów i koni.

Robota na łące szła żwawo, ludzie rażno zawijali kosami, inni na wyścigi zgrabiali wczorajsze pokosy, dzieci nawet, niewiele co starsze od Leosia i Julci, przetrząsały pokosy i dopomagały w pracy.

Naszym znajomym bardzo się podobała ta robota. Robotnicy byli weseli, głośno rozmawiali i żartowali. Niejeden nawet zaśpiewał; dziewczęta się śmiały, Leosowi więc i Julci zdawało się, że to bardzo łatwo kosić i grabić: ot taka sobie zabawka!

— Wielkie mi rzeczy tak wywijać kosą! — mówił Leoś: — *ciach, ciach*, i już!

Nasi znajomi.

— Tak, tak, mówić to łatwo! — rzekł jeden z kośników, przechodząc — ale niechnoby tylko panicz popróbował!

— Ech, gdybym tylko miał kosę, tobym tak ciął, że ha! — przechwalał się Leoś.

— Och, i jabym potrafiła tak samo grabić siano, jak oto tamta dziewczyna, przecież to nic trudnego — mówiła Julcia.

— Rozumie się, że nie trudnego; gdyby to była taka trudna praca, toby oni z pewnością jej nie potrafili, tacy oto prości wieśniacy! — rzekł Leoś.

— I nie byłiby tacy weseli, nie biegaliby tak prędko, i nie śpiewali przy robocie! — dodała Julcia.

— Oho, jak mi trudno napisać zadanie arytmetyczne, to mi się wcale nie chce śpiewać! — mruknął Leoś.

— Ani ja wcale nie mam ochoty do śmiechu, gdy mi każą pisać... och, wcale nie! wolałabym grabić! tak łatwo...

— A więc proszę, bardzo proszę! — zawołał wuj, usłyszawszy rozmowę dzieci. — Przy sianokosach każdy robotnik się przyda, dalej więc do roboty!

— Naprawdę? wujaszek pozwoli? — pytała Julcia.

— Nietylko pozwolę, ale bardzo wam będę wdzięczny za pomoc! — rzekł wuj, uśmiechając się. — Tylko jak już raz weźmiecie się do ro-

boty, to proszę nie ustawać. Hej, Jędrzeju! — zawołał — daj-no Leosiowi kosę, tę co tam leży przy kopce, a ty Julciu masz, oto są grabie.

Julcia wzięła grabie, lecz o mało ich nie upuściła, takie były ciężkie. Ciągnęła jednak niemi parę ździebeł trawy. Leos zaś, widząc, że Jędrzej, podając mu kosę, pot z czoła rękawem ocierał, nie tak chętnie brał za drzewce kosy.

— No, no, żwawo, mości robotniku! — zachęcał wuj, wkładając chłopcu tak kosę w ręce, żeby się nią nie skaleczył.

Leos wziął kosę i nie wiedział co dalej z nią robić. Spojrzał na wuja, a zobaczywszy, że ten patrząc na niego z pod oka, jakoś się dziwnie uśmiecha, posunął kosą po trawie. Lecz ani jedna trawka nie padła; posunął drugi raz: znowu to samo. Nie mógł kosy udźwignąć, tylko trawka, pochyliwszy się na chwilę, zaraz się podnosiła, a jego już tak ręka bolała, że nie mógł trzeci raz kosą poruszyć.

— A cóż to? już ustałeś w robocie? — pytał wuj, odwracając się.

— Ech, bo ta kosa to taka jakaś ciężka, czy niedobra! — rzekł chłopiec zakłopotany.

— Oj, oj, ale jaka dobra! — zawołał jeden z kośników, młody i rażny chłopak.

I rzuciwszy swoją, pochwycił kosę trzymaną niedołąźnie przez Leosia. Wywijał nią tak lekko i zwinnie, jak gdyby tylko piórko trzy-

mał w rękę, a jednak pod każdym cięciem trawa układała się w równe i gładkie pokosy.

Leoś stał zawstydzony zdaleka, a Julcia, nie mogąc podolać grabieniu, zbliżyła się do wuja, ciągnąc z trudnością grabie za sobą.

— Mój wujaszku, ja już grabić nie będę, bo te grabie takie ciężkie! — rzekła nieśmiało.

— Jest i druga! — zawołał wuj, śmiejąc się. — A to dopiero! myślałem, że będę miał dwoje ochoczych robotników, a tu oni zaledwie stanęli, i już się pomęczyli!

— Ale, bo... bo... — jękał się Leoś, nie mogąc się jakoś wytłómaczyć.

— Widzi wujaszek, mnie się zdawało, — mówiła Julcia — że to tak łatwo grabić.

— Aha, tak, tak! im to tak łatwo jakoś idzie — podchwycił Leoś.

— A tak, im łatwo idzie! — rzekł wuj — bo są do tej roboty od najmniejszego dziecka przyzwyczajeni. Nikt moje dzieci żadnej roboty odrazu nie umie, tylko powoli się do niej przyuczają musi. Tak samo, jak i wy uczyliście się poznawać głoski, a potem dopiero czytać, i to jeszcze z początku szło wam kulawo, a dopiero powoli nauczyliście się czytać bez pomyłki. Dziś każde z was gładko przeczyta. Tak samo i oni powoli doszli do tego, że gładko koszą i grabią.

— Och, ale przecież ich robota daleko łatwiejsza! taką robotę każdy potrafi — rzekł Leoś z pewnym lekceważeniem.

— A tak, widzieliśmy, jak to każdy potrafi! — rzekł wuj, patrząc na niego.

Leoś zarumienił się, bo mu się przypomniało, jak przed chwilą właśnie przechwalał się, a jednak owej prostej roboty dokonać nie umiał. Że zaś Leoś był zarozumiały, nie chciał więc odrazu ustąpić.

— Bo też to jest robota tylko dla takich prostych ludzi; oniby czego innego robić nie mogli; my przecież wiele innych rzeczy umiemy, a chłop tylko kosić! — dodał wyniośle.

— No, no, proszę, nie wiedziałem, — rzekł wuj — że między nami znajduje się taki wielki człowiek, co wiele rzeczy umie! I proszę cię, co też ty umiesz naprzykład?

— A proszę wuja, Leoś ma wielkie zdolności do rysunku! — broniła Julcia brata.

— Ba, ma wielkie zdolności do rysunku! — powtórzył wuj — a któż ci powiedział, że ten chłopiec, który tam roztrząsa siano, nie ma także zdolności do rysunku lub do śpiewu?

Wtem, jakby w odpowiedzi na zapytanie wuja, ów wskazany chłopak czystym głosem zaśpiewał:

„Słoneczko się schyla, oj schyla,
A roboty jest dosyć, oj tyła!
Słoneczka jest widać niewiela,
A na łące dość jeszcze jest ziela!
Gdy słoneczko się z nami zabawi,
To ziółko się oj z łączki zagrabi.

Bywaj słonko, słoneczko, oj bywaj,
Nie bawże się, a do nas przybywaj!
A my zrana, hej z rosą, hej zrana,
Zaśpiewamy wesoło, ta dana!

I ostatnie „ta dana“ przeciągnął długo, bardzo długo, a echo odpowiedziało mu tem samym „ta dana“ aż gdzieś daleko pod lasem.

Dzieci spojrzwały po sobie, bo pomimo, że one czasami też z mamą śpiewały, żadne jednak tak doniosłe wyciągnąćby głosem nie potrafiło.

— Ot, masz w odpowiedzi! — rzekł wuj. — Leoś ma zdolności do rysunku, a ten chłopiec, chociaż tylko umie prostą robotę, ma zdolności do śpiewu. Ale gdyby Leoś nie uczył się rysunku, to z pewnością na nicby mu się nie przydały jego zdolności, tak jak i temu chłopcu jego głos piękny, którym tylko rozwesela sobie pracę. A więc i ów chłop, jak Leoś nazywa, chociaż tak ciężko pracuje, mógłby również dużo innych rzeczy się nauczyć, gdyby go do tego od młodości przyuczano. Lecz dzieci wiejskie przyuczają tylko do tej ciężkiej i mozolnej roboty około ziemi, która jest konieczną, a nader ciężką i mozolną. Dlatego też nie trzeba poniewierać ich pracą i przechwalać się, że każdyby to samo co oni potrafił, lecz owszem trzeba uszanować ich pracę.

Leoś jakoś spuścił głowę i nie śmiał nic na razie wujowi odpowiedzieć.

— Miałbym też co szanować, taką pracę! — mruknął tylko pocichu.

— Także co mi za praca! niby to potrzeba siedzieć nad nią, jak nad książką! Jeszcze czego, żeby oto pracę takich brudnych wieśniaków szanować! — myślała sobie Julcia, zbierając kwiaty nad brzegiem łąki.

— Ciekawym bardzo, co ci wieśniacy tak bardzo dobrego robią? Ścinają oto i ścinają trawę — mówił Leos pocichu do siostry, rwąc razem z nią kwiaty. — A przecież ja gdy się ucze, to daleko więcej pracuję.

— Ale rozumie się! — przyświadczyła Julcia.

— Przecież my to co innego, inaczej mówimy, ładniejsze mamy sukienki, a oni co?

I Julcia skrzywiła usteczka.

— No, no! — rzekł wuj, widząc, że dzieci jakoś posmutniały i odeszły od niego — gdy pędzicie na wsi i przypatrzycie się życiu wieśniaków i ich pracy, to będziecie tę pracę szanowali. A teraz zostańcie trochę tutaj, ja pójde tylko zobaczyć robotę, ot tam, pod las.

— To i my tam pójdziemy! — rzekła Julcia.

— Oj nie, moje dzieci! bo tam bardzo wilgotno, nie przeszlibyście w waszych delikatnych trzewiczkach. Zostańcie tutaj! — mówił wuj — tylko nie chodźcie tam oto za ten krzak na prawo, bo i tam wilgotno!

— Jaki też ten wujaszek! — rzekł Leos niezadowolony — jemu się zdaje, że nie po-

winniśmy się nigdzie ruszyć, tylko tam, gdzie on nas postawi.

— To prawda! — powtórzyła Julcia — nawet to niegrzecznie ze strony wujaszka, że nam zabrania chodzić, gdzie nam się podoba. Zaprosił nas do siebie, a teraz nie pozwala nam biegać!

— Tak, nam to niewolno! a patrz, przez tę łąkę poza krzakiem idzie sobie jakiś chłopak i wcale się nie pyta o pozwolenie! — rzekł, wskazując, Leoś. — Chodźmy tam! — dodał.

— A chodźmy! — rzekła Julcia.

— A dokąd to idziecie? hej, paniczu, panienko, wróćcie się! — wołał ten sam wieśniak, który Leosiowi odebrał kosę.

— A tobie co do tego? — oburknął Leoś.

— Jaki mi, żeby nam zabraniać! — dodała Julcia.

— Co tego, to już nadto, — mówił Leoś — żeby nam jakiś wieśniak miał rozkazywać!

I nie odwracając się nawet i nie słuchając wołania chłopca, szli wprost do owego krzaka.

Coraz było wilgotniej. Trawa wprawdzie była piękna i zielona, lecz ziemia im się ugięła pod nogami. Trzewiczki już mieli zupełnie mokre, lecz któżby tam uważał na taką drobnostkę!

— Co za śliczne niezapominajki! — mówiła Julcia, rwąc kwiaty.

— Ale jaką ja sobie śliczną laseczkę zro-

bie! — rzekł Leos, usiłując oderwać jedną z wystających gałęzi krzaka.

Wtem kośnik, widząc, że dzieci nie wracają na jego wołanie, nadbiegł co tchu, żywo pochwycił Julcię i przerzucił ją zdala od miejsca, na którym stała.

Julcia krzyknęła z oburzeniem, a Leos odwróciwszy się, podniósł już rękę, ażeby uderzyć tego śmiałka, który tak niegrzecznie obszedł się z siostrą. Nie zdążył jednakże, bo i jego kośnik odepchnął gwałtownie od krzaka.

— A to byłaby was dopiero użarła! — rzekł chłopak, wskazując zabita żmiję. — A wołałem: „Nie chodźcie!“ — a i pan nie pozwolił!

Dzieci, ujrawszy rozciągniętą żmiję, zaczęły płakać, nie wiedząc, co z sobą zrobić.

— No, niema czego płakać! — rzekł chłopak, zarzucając kosę na ramię. — Niech panienka idzie, to przeniosę! — rzekł, biorąc na ręce Julcię — a panicz niech idzie prędko, tu przy mnie.

Julcia teraz nietylko nie była oburzona, lecz oburącz trzymała się poczciwego kośnika, a Leos byłby także chętnie uwiesił się na jego plecach, ale tam znów z za ramienia wyglądała kosa. Drząc więc, szedł tylko obok.

O kilka kroków spotkali wuja, który nie zastawszy dzieci na miejscu, biegł za nimi, obawiając się, czy im się co złego nie stało.

Leos, błądy i przerażony, opowiedział rzecz

całą, Julcia zaś wychwalała pocziwego kośnika, który ich od ukąszenia żmii, a może i od śmierci ochronił.

— Jaki to dobry człowiek ten kośnik! ja go bardzo kocham! — dodał z zapałem Leoś.

— A jaki silny! tak nas przerzucił jak dwie piłki! — opowiadała Julcia.

— A jak zręcznie tę żmiję zabił! Odrazu, powiadam wujaszkwowi: buch! i już rozcięta na dwoje! — mówił Leoś, naśladując uderzenie kośnika.

— Ech, wszakże to tylko prosty chłop, co nic więcej nie umie, tylko kosić! — rzekł wuj, wysłuchawszy opowiadania dzieci.

— Och, wujaszek znowu sobie żartuje! — rzekł Leoś.

— Nie, ale i tybyś pewnie to samo potrafił, bo cóż to tam wielkiego uderzyć oto i zabić żmiję: buch! — rzekł wuj, naśladując Leosia — i już zabita.

— Och, wcale nie, to nie tak łatwo! — zawołała Julcia — ja już nawet grabić nie umiałam, Leoś udźwignąć kosy, a cóżby dopiero od żmii się obronić!

— Tak? — rzekł wuj. — A więc okazało się, że to nie taka łatwa rzecz, ta prosta robota?

— Och, co nie, to nie! — zawołał Leoś. — Oho, mój wujaszku! ja już teraz nigdy nie będę sobie z ich roboty żartował.

— Ani ja! — dodała Julcia.

— Ech, wie wujaszek, że ja już nawet nigdy przechwalać się nie będę, że potrafię jaką robotę; tak się dziś zawstydziałam przy tej kossie. Ja to zaraz widziałem, że taki wieśniak więcej umie ode mnie i że ma ciężką pracę, tylko się przyznać do tego nie chciałem. Ale teraz to już będę umiał szanować najprostsza pracę.

— Oho, gdyby nie taki prosty robotnik, co by się z nami stało! — dodała Julcia.

— Aha, więc teraz dopiero, gdy was wieśniak od niebezpieczeństwa uchronił, to inaczej na niego patrzycie i szanujecie jego siłę i pracę? — rzekł wuj. — No, ale daj Boże, żebyście każdą naukę tak łatwo, jak dzisiejszą zdobyli. Lecz po dzisiejszej przygodzie chyba wam się odechce chodzić ze mną na łąkę? — dodał wujaszek.

— Co nie, to nie! — rzekł Leoś. — Owszem, teraz będę przypatrywał się robocie wieśniaków, i już nigdy nie powiem, że ja to samo potrafiłbym, co i oni.

— Oj nie, z pewnością nie potrafiłbyś niktogo tak ochronić od żmii, jak ten kośnik! — rzekła Julcia.

— Wiem, wiem, moja kochana! — powtórzył Leoś. — A ile razy będę miał ochotę pochwalić się ze swego rozumu i wynosić się nad innych, to sobie przypomnę dzisiejszą przygodę na łące.

VII.

Ł i p a. /

Władzio bardzo lubił przebierać się dziwnie i straszyć wszystkich w domu. Wiedział on doskonale, że żadnych strachów niema na świecie, bawiło go więc, że inni wierzyli w strachy.

Gdy się tylko zmierzchno, zaraz zakradał się w jaki ciemny kąt pokoju, a drapiąc po ścianie lub chrapiąc, przestraszał wchodzącą ze światłem służącą. Dziewczyna stawiała śpiesznie lampę, i przeżegnawszy się, umykała co tchu z pokoju, opowiadając, że najwyraźniej słyszała, jak w pokoju coś się odzywa. Władzio dopytywał się potem, co to było, jakie to były głosy i w którym kącie pokoju się odzywały; służąca opowiadała z pewnym przestraczem, a Władzio śmiał się z tego pocichu, udając także, że i on boi się wejść do tego pokoju.

Raz późno wieczorem okrył się czarną dużą chustką, włożył szkaradną maskę na twarz, a wzięwszy dwa kawałki niedopalonego cygara, zapalił je i włożył w usta, silnie rozdmuchując.

Cygara rozdmuchane zarzyły się doskonale, oświecając potworną maskę i całą postać czarną.

Tak ustrojony stanął w kuchni za wielką szafą, a gdy weszła kucharka, on powoli się wychylił. Przestraszona kobieta uciekła z krzykiem, wołając pomocy, a tymczasem nasz psotnik zręcznie wymknął się drugimi drzwiami, rzucił w kąt czarną chustkę, zgasił cygara, schował maskę, i gdy kucharka weszła w towarzystwie odważnego stróża, Władzio już najspokojniej siedział w swoim pokoju i udawał, że się pilnie uczy.

Naturalnie wszystkie te psoty wtedy tylko płatał, kiedy rodziców w domu nie było.

Najwięcej go jednak bawiło, gdy mu się udało przestraszyć którą z siostrzyczek: Janinkę lub Kazię.

Obiedwie były od niego starsze, jedna bowiem miała lat dwanaście, a druga trzynaście; uczyły się bardzo dobrze i daleko więcej umiały od jedenastoletniego Władzia.

Obiedwie jednak były bardzo lękliwe, a chociaż tak samo, jak i Władzio, doskonale wiedziały, że niema żadnych strachów, mimo to, jak jedna, tak i druga niechętnie szły do ciemnego pokoju. Niech zaś tylko kto stuknął znieknacka, zaraz obiedwie, jak na komendę krzyknęły i zarumienione tuliły się do matki.

Władzio, chociaż bardzo kochał siostrzyczki, bawił się tą ich lękliwością, i jak tylko upatrzył,

że dziewczynki pilnie są zajęte nauką, zakradał się do ich pokoju, i kiedy te najmniej się tego spodziewały, świstał przeraźliwie. Dziewczynki zwykle wtedy przełękły się, krzyknęły, ode-rwały się od lekcji, a zobaczywszy, kto był sprawcą przestרחu, pogoniły za swawolnym braciszkiem, i wszystko kończyło się śmiechem i wesołością.

Raz nawet gorzej było, bo gdy Janinka i Kazia siedziały na kanapce i pilnie uczyły się z jednej książki, Władzio zakradłszy się pod kanapkę, delikatnie ukłół w nóżkę Janinkę. Ta posunęła się tylko i nie przerywając sobie nauki, dalej czytała. Po chwili Kazia syknęła, posuwając się za siostrą. Władzio jednak nie poprzestał na tem i złapał ją zębami za nogę.

— Co to jest? — zawołała Kazia, wstając z kanapki.

— Oj, oj! — krzyknęła Janinka, chwytając się za nogę.

„Wrrr!...“ dał się słyszeć głos z pod kanapki.

— Co się stało? — zapytała matka, wcho-dząc do pokoju.

— Nie wiem, co to jest, — mówiła Janin-ka, usuwając się — ale mnie coś złapało za nogę.

— A i mnie także — rzekła Kazia.

— Może pies jaki obcy się zakradł? — rzekła matka, nachylając się, żeby spojrzeć pod ka-napkę.

Lecz Władzia pod kanapką już nie było. Usłyszawszy bowiem wchodzącą matkę, wysunął się i stanął za kanapką, przytulony do ściany.

Mama jednak domyśliła się odrazu, kto był sprawcą całego przestרחu; wyciągnęła więc psotnika, a spojrzawszy surowo, nie pozwoliła się nawet pocałować w rękę i kazała odejść do swojego pokoju.

Władzio, który przed chwilą chciał przestraszyc siostry, teraz sam był w strachu. Z mamą bowiem żartów nie było. Mama, chociaż kochała i pieściła dzieci, jednak gdy które co zawiniło, z pewnością nie przebaczyła. To też i Władziowi zapowiedziała, że dopóty nie pozwoli mu się pocałować i wcale go nie popieści, dopóki najzupełniej się nie poprawi i psot swoich nie zaprzestanie.

Janince jednak i Kazi, ujrzawszy braciszka bardzo zasmuconego, żal go się zrobiło, i dopóty prosiły rodziców, dopóki mu nie przebaczyli i nie pocałowali chłopca na dobranoc.

Władzio, przyrzekłszy poprawę, wesoło już spać się położył, i wszystko do dawnego wróciło porządku.

Przeszło kilka tygodni. Władzio tak jak przyrzekł, żadnej psoty nie spletał i nikogo nie przestraszył.

Skończył się czerwiec, Janinka i Kazia przestały chodzić na pensję, Władzio do szkoły,

i zaraz w początkach lipca dzieci razem z rodzicami wyjechały na wieś, na całe wakacje.

Ponieważ dzieci cały rok się dobrze uczyły, rodzice pozwolili im używać na wsi zupełnej swobody. A więc Janinka, Kazia i Władzio po całych dniach bawili się w ogrodzie. Zbierali porzeczki, agrest i maliny, a nietylko rwali dla siebie, lecz i dla wszystkich dostarczali owocu na podwieczorek. Zbierali również i zaususzali rozmaite trawki i listki. A nawet mama poleciła dziewczynkom, ażeby zbierały i suszyły różne zioła, które w wielu chorobach są ludziom pomocne.

Dziewczynki bardzo chętnie tem się zajmowały.

W lipcu właśnie dużo takich ziół kwitnie, lecz najwięcej kwiatów dostarczają wonne lipy.

W ogrodzie było kilka małych lip, na które Władzio wdrapawszy się, zrywał kwiat, a dziewczynki, odbierając od niego, skrzętnie go suszyły. I tak, bawiąc się dzieci, użytecznie czas przepędzały.

Lecz nad owemi młodem lipami górowała jedna lipa staruszka. Pień miała omszały, wypróchniały wewnątrz, a w górze szeroko jeszcze roztaczała gałęzie. Lipa ta ochraniała od zbyt-niego skwaru rosnące przy niej młode towarzyszycki, a zarazem użyzczała cienia naszym znajomym.

Pod ową lipą stała ławeczka, a Janinka, Kazia i Władzio, najlepiej lubili się tam bawić.

— Ach, gdyby to tak kiedy na ową wielką lipę się wdrapać! — rzekł Władzio, spoglądając do góry.

— Oho, to za wysoko! — odrzekła Janinka, wkładając do koszyczka kwiat zebrany.

— I bardzo trudno, bo pień gładki, a gałęzie bardzo wysoko! — dodała Kazia.

— Ech, dla was dziewcząt to wszystko trudno! — rzekł Władzio — ale dla mnie raz, dwa...

— No, no, tylko nie próbuj! — przestrzegła go Janinka.

— Ha, ha, ha! przestraszyłem moją siostrzyczkę! — zawołał Władzio, chwytając w pół Janinkę. — No, no, ale nie obawiaj się, nie wejdem tak wysoko!

I wśród żartów i śmiechów powrócili do domu.

Następnego dnia był taki upał, że dzieci przez cały dzień nie mogły wyjść z pokoju. Wieczorem dopiero rodzice z Janinką i Kazią poszli do altany, ażeby troszkę się ochłodzić i odetchnąć wonią lip kwitnących.

— Władziu, Władziu! — wołały dziewczynki, wychodząc z pokoju.

— Władziu! — wołał ojciec głośniej.

Lecz Władzia nigdzie nie było...

— A gdzie się znów ten chłopiec podział?

— Niedawno był w pokoju — mówiła matka, idąc razem z innymi do ogrodu.

Nasi znajomi.

— Widziałem panicza, jak przed chwilą poszedł do altany — rzekł przechodzący ogrodnik.

— To go tam znajdziemy! — zawołały dziewczynki.

I pobiegły szukać brata.

W altanie jednak chłopca nie było.

Wołały go dziewczynki, wołali rodzice, lecz Władzio się nie odzywał.

— Znajdzie się niezadługo! — rzekł ojciec, siadając.

— Skrył się gdzie zapewne — dodała matka — i chce, żebyście go szukały.

— To niechaj sobie czeka, ja go szukać nie będę! — rzekła Janinka.

— Ani ja! — powtórzyła Kazia.

I obiedwie dziewczynki usiadły obok rodziców na ławeczce pod lipą, śmiejąc się i gawędząc.

Po chwili dał się słyszeć za nimi jakiś głos dziwnie przytłumiony, jakby chrapanie czy jęki.

— Oho, to pewno Władzio chce nas przstraszyć! — zawołała Kazia.

— Ale jakim okropnym głosem się odzywa, jak z pod ziemi! — dodała Janinka, i jakoś trwożliwie przytuliła się do matki.

— Ale gdzie on się zaczął? — rzekł ojciec — chodźmy go poszukać!

I wstawszy wszyscy, obeszlili dokoła lipę. Lecz Władzia nigdzie nie było.

— Czy mu się co złego nie stało? — rzekła matka z pewną trwogą, spojrzawszy na ojca.

— Władziu! — zawołał ojciec. — Władziu! wyjdź zaraz z kryjówki! — powtórzył surowo.

Lecz Władzio się nie ukazywał.

Po odejściu od lipy żadnego nietylko głosu, ale nawet szmeru słychać nie było. Żaden listek nie poruszył się na drzewie, tak jakby wszystkie zasnęły spokojnie, ufając, że nad nimi i nad całym światem tam w górze czuwa Dobrotliwe i Opatrzne Oko. Tylko księżyc jasnym obliczem wypłynął na pogodne niebo, przyświecając srebrnym swem światłem.

Przy tem świetle i Władzia łatwo byłoby znaleźć.

Nie było go jednak nigdzie.

Szukano go nietylko w altanie, lecz i w pobliskich zaroślach, myśląc, że może kryje się, uciekając coraz dalej.

Wszystko jednak było napróżno.

Rodzice tem więcej byli zatrwożeni, że Władzio, chociaż był psotny, jednakże, gdy usłyszał głos ojca lub matki, wszystko porzucił i zaraz zwykle przybiegał. Teraz wołania ich nic nie pomagały.

Po próżnem szukaniu powrócono do altany, aby posłuchać, czy owo chrapanie i głos przytłumiony nie odezwie się znowu. Lecz w altanie była cisza.

Matka zbliżyła się pod lipę. Słaby głos,

słabszy niż poprzednio, chrapanie i drapanie znów się słyszeć dało. Dała znak, żeby nikt nie mówił, i przyłożyła ucho do pnia lipy.

Z wnętrza najwyraźniej dało się słyszeć jakieś tarcie, jakiś jęk, czy wołanie, które jakby się urywało i nikło.

— Co to jest? co się tam odbywa?... — pytała przełęczniona. — Ale jakżeby on się tam dostał? — dodała, zwracając się do ojca.

Ojciec, przyłożywszy również ucho do pnia i usłyszawszy owe stłumione jęki, odsunął się i spojrzał na lipę wysoko, tam, gdzie ze starego, nawpół spróchniałego pnia rozrastały się szeroko gałęzie. Smutno kiwnął głową i rzekł:

— Trzeba pójść po ludzi, niech przyniosą drabinę; lipa wewnątrz wypróchniała, u góry pnia ma zapewne otwór; trzeba zobaczyć... Ale to niepodobna, żeby się tam Władzio wdzierał! — dodał dla uspokojenia matki.

I sam zatrwożony, poszedł śpiesznie po pomoc.

Matka tymczasem z Janinką i Kazią nie odstępowały od lipy, wołając co chwila:

— Władziu! Władziu!

A potem przykładały znowu ucho do pnia, skąd ten sam słaby głos ich dochodził.

Dziewczynki już na dobre płakały, a matka tuliła je, będąc sama w najokropniejszej trwodze o syna.

Powrócił nareszcie ojciec, prowadząc ludzi.



Zaledwie ojciec pochwycił go w objęcia, chłopiec zwiesił głowę
i zemdlął.

BIBLIOTHECA
MUSEI
HISTORICO-
NATURALIS
MUSEI
MUSEI

Przystawiono do lipy drabinę; ojciec sam wszedł na nią, trzymając zapaloną latarkę.

Matka od pnia nie odrywała ucha, a dziewczynki, złożwszy ręce, spoglądały ku ojcu.

Lipa rzeczywiście u góry pnia miała otwór szeroki.

Po chwili ojciec, stojąc na drabinie, zawołał:
— Sznura!

W tej chwili podano mu sznur żądany i drugą z przeciwnej strony przystawiono drabinę.

Teraz już i matka z nieopisaną trwogą spojrziała ku górze.

Wszyscy w milczeniu oczekiwali, co dalej będzie.

Ojciec, schylając się nad otworem, wołał:

— Władziu! Władziu!

Wpuszczono sznur gruby; ojciec, przyświecając latarką w głąb otworu, kazał go ciągnąć ludziom, stojącym na drugiej drabinie.

— Jest! — zawołał ojciec.

I rzucając latarkę, pochwycił Władzia, wyciągając go z otworu.

A w samą też porę przyszła ta pomoc, bo chłopiec wycieńczony nie byłby już zapewne mógł dłużej sznura utrzymać i byłby spadł nownie w głąb lipy. Zaledwie bowiem ojciec pochwycił go w objęcia, chłopiec zwiesił głowę i zemdlął zupełnie. Z omdlałym Władziem ojciec zeszedł w milczeniu z drabiny i położył syna na ławeczce.

Matka krzyknęła na jego widok, dziewczynki zaś z przestraczem patrzyły na brata.

I rzeczywiście można go się było przestraszyć. Władzio miał całą twarz poranioną, we włosach odłamki spróchniałego drzewa i mchu, ręce pokrwawione, a ubranie poszarpane. Przy niesiono wody, a obmywszy nieszczęśliwego psotnika, przyprowadzono go do życia.

Gdy otworzył oczy i przyszedł do przytomności, pochwycił najpierw rękę matki i zaczął całować, płacząc przytem rzewnie.

Mówić jednak nic nie mógł, tak był osłabiony.

Przeniesiono go zaraz do pokoju, zdjęto podarte ubranie, obmyto poranioną twarz i całe ciało zimną wodą. A chociaż matka z całą czułością sama tego wszystkiego delikatnie dokonywała, Władzio jednak za każdym dotknięciem sykał z bólu. Nie można się było temu dziwić, bo spadając w głąb wypróchniałej lipy, a potem usiłując się z niej wydostać, poranił się i pokaleczył.

Długo, bardzo długo Władzio leżał, bo oprócz poranienia, jeszcze z przestraczu i wstrząśnienia dostał silnej gorączki. Doktor długo bardzo żadnej nie robił nadziei wyzdrowienia. Po kilku tygodniach ciężkiej choroby, Władzio zaczął nareszcie przychodzić do siebie.

Jak tylko odzyskał przytomność, prosił rodziców o przebaczenie, przyznając się do winy.

Opowiadał, iż wiedząc, że wieczorem wszyscy pójdą do altany, wybiegł wcześniej, chcąc wejść na lipę i zawołać zmienionym głosem na Janinkę i Kazię. Chciał poprostu siostry przestraszyć. Wdrapał się więc tak, jak miał zamiar, a kiedy już był u wierzchołka pnia, nagle zsunął się wewnątrz.

— Zupełnie nie wiedziałem, co się ze mną stało! — dodał — ach ojcze, ach mamuniu! — wołał, tuląc ręce rodziców.

I zaczął płakać.

Matka uspokajała Władzia, nie robiąc mu już żadnych wymówek. Chłopiec bowiem nie był jeszcze zdrów zupełnie, dużo za tę psotę wycierpiał i należycie już był ukarany.

Ojciec zaś powiedział mu, że już nikt o tej całej przygodzie nawet nie wspomni, aby tylko Władzio sam o niej pamiętał.

Nareszcie Władzio zupełnie wyzdrowiał, lecz i wakacje zbliżały się do końca. Janinka i Kazia, siedząc przy chorym braciszku, także wakacyi nie użyły.

Nie skarżyły się jednak na to, owszem, zawsze uprzejmie i wesoło przynosiły choremu kwiatki, owoce, opowiadały rozmaite drobne wydarzenia, chcąc, żeby jak najprędzej zapomniał o całym tym smutnym wypadku. Nareszcie Władzio ozdrowiał zupełnie, i wkrótce wszyscy mieli do miasta powrócić.

Uprosił więc rodziców i siostry, żeby poszli razem z nim do altany, bo chciał jeszcze raz spojrzeć na ową lipę.

Gdy rodzice usiedli na ławeczce, Władzio ukląkł przed nimi, a całując w ręce, dziękował im, oraz siostrom za starania w chorobie.

— Tutaj, kochana mamo i ojcze! — rzekł chłopiec — przyrzekam wam, że już teraz zawsze będę posłuszny, i ani siostr, ani nikogo straszyć nie będę. Ta lipa smutną mi dała naukę!

Rodzice uściskali syna, nie pamiętając wszelkiego zmartwienia, jakiego był przyczyną, a widząc żal szczerzy, uwierzyli w szczerą poprawę.

I rzeczywiście tak się stało. Władzio jak przyrzekł, tak słowa dotrzymał.

Cały rok uczył się doskonale, nie płatał nikomu psot i figlów, a gdy przyjechał na następne wakacje, pobiegł zaraz powitać lipę, którą odtąd nazywał swoją przyjaciółką.

VIII.

Dożynki.

Kostuś i Tosia wychowywali się w mieście, a wsi najzupełniej nie znali. To też gdy im rodzice powiedzieli, że wkrótce wszyscy przeniosą się na wieś, bardzo się z tego uradowali. Wiedzieli o tem dobrze, że na wsi jest ogród, pole, las, łąka, że jest dużo zwierząt domowych, że Tosia będzie miała swojego cielaczka i kure, a Kostuś miał obiecane goźrebaczka. Z radością więc wyjechali, nie żałując wcale miasta. Byli już od kilku miesięcy na wsi, aż nareszcie nadszedł sierpień, a z nim żniwa.

Dzieci często z rodzicami chodziły w pole, a chociaż Tosia żałowała pięknych kwiatków, które razem ze zbożem skoszono, niemniej jednak biegała z Kostusiem, zbierając pozostałe kłosa, lub ciągnęła snopek, który ją całą zasłaniał.

Robota szła rażno, i żniwa w połowie sierpnia były już zupełnie skończone.

Jednego dnia Kostuś wbiegł do pokoju cały zadyszany, wołając:

— Tosiu, Tosiu! czy wiesz, co to dzisiaj będzie?

— A wiem, wiem! — odrzekła mu dziewczynka.

— A skąd wiesz? — zapytał zdziwiony.

— Także, skąd wiem! mama pozwoliła mi nietylko patrzeć, ale nawet obierać gruszki na kompoty i do suszenia, a on mnie się pyta, skąd wiem, że dzisiaj ogromna robota!

I Tosia uszczęśliwiona, że mama powołała ją do tak ważnego gospodarskiego zajęcia, z pewną dumą biegła już do drzwi, ażeby razem z innymi wziąć się do pracy.

— Ta, ta, ta, wielkie rzeczy! to mi dopiero awantura! gruszki zbierać! — wołał Kostuś, wzruszając ramionami. — A więc kiedy tak, to nic nie wiesz, nic a nic!

— A ty co wiesz? — zwróciła się Tosia już ode drzwi.

— Oho, wiem bardzo ciekawe rzeczy! ale nie powiem.

— To nie mów, wielkie rzeczy! wcalem nie ciekawa — odrzekła Tosia.

Mimo to jednak nie poszła do obierania gruszek, lecz zaczęła chodzić po pokoju. Kostuś zaś, podśpiewując: hop! hop! hop! oj da, da! wybijał w takt hołubca i skakał wesoło. W tych podskokach pochwyił wpół siostrę i obracał nią na wszystkie strony.

— Aha, to widzisz tak będzie! oj da, da, da! — wołał, przyśpiewując.

— Ale cò będzie? — pytała dziewczynka, wrywając się bratu. — Zatrzymujesz mnie tutaj, a tam mama kazała mi być przy gruszkach.

— Ja cię zatrzymuję? A to mi się podoba! ja ją zatrzymuję! — powtarzał rozweselony Kostuś. — Ciekawa jesteś, czegom się dowiedział; aha, prawda? i dlatego nie odchodzisz!

— A nudny jesteś, to mi już raz powiedz! — rzekła Tosia.

— O nie, poproś...

— No to, proszę cię!

— Ech, ale nie tak, trzeba przyjść, jak przystało do starszego brata...

— Także mi starszy! o rok, to i còż! ani myślę prosić! — rzekła Tosia i odwróciła się, chcąc odejść.

Lecz Kostuś podbiegł i zatrzymał siostrę.

— Ani myślisz? doprawdy? — pytał, wykręcając jej główkę ku sobie.

Ciekawość przemogła, i Tosia popatrzawszy na brata, widząc, że inaczej się nie dowie, objęła go obydwiema rączkami za szyję i rzekła:

— Mój Kostusiu, powiedz! powiedz! naprawdę wiesz co ciekawego?

— O, tak, to dobrze! — rzekł chłopiec — teraz powiem ci, kochana moja młodsza siostrzyczko: oto dzisiaj będą *dożynki!*

I to mówiąc, odstąpił parę kroków, przypatrując się, jakie to na siostrze zrobi wrażenie.

— Dożynki? co to znaczy? — pytała Tosia, wpatrując się w brata zdziwionemi oczyma, pierwszy raz bowiem będąc na wsi, nie znała wielu zwyczajów wiejskich.

— Ty pewnie żartujesz! — dodała.

— Wcale nie żartuję. Otóż widzisz, ty nie tylko nie wiesz, że będą dziś dożynki, ale nawet nie wiesz, co to są dożynki!

— No, nie wiem, nie wiem! to też mi powiedz! — nalegała dziewczynka z pewną niecierpliwością.

— Dożynki! — począł Kostuś — to taka zabawa!...

— Zabawa? — powtórzyła Tosia.

— Proszę cię, nie przerywaj mi! — rzekł chłopiec z powagą. — Otóż widzisz, dożynki to jest zabawa wieśniaków. Gdy wieśniacy już skoszą wszystko zboże i zwiozą je do stodoły, to jest, gdy już zupełnie skończą żniwa, wtedy plotą wieniec ze zboża, stroją go w kwiaty i orzechy i przynoszą śpiewając do domu. A pan, na którego polu skończono żniwa, częstuje wieśniaków, płaci muzykę, zachęca do zabawy i dziękuje, że mu dopomogli w pracy. Oni zaś tańczą przed dworem, radując się, że im Pan Bóg dał sprzątnąć szczęśliwie.

— A skąd ty wiesz o tem wszystkim? — pytała Tosia.

— Naturalnie, że od ojca. Byłem dziś z tatusem u gospodarstwa, i opowiadał mi dużo ciekawych rzeczy — mówił dalej Kostuś. — Ojciec mi jeszcze mówił, że dożynki to jest bardzo dawny u nas zwyczaj, bo kraj nasz, jako zajmujący się głównie rolnictwem, ukończenie żniw zawsze obchodził bardzo uroczystości. Tatusz jeszcze powiedział, że zwykle dla zachęcenia, sam pan rozpoczyna tańce z którą najpracowitszych wieśniaczek, i że my będziemy mogli także potańcować. Ot, tak! — dodał chłopiec: — „Oj ta dana, dana, dana!“

I wesoly chłopiec, pochwycawszy siostrę, wywijał z nią po pokoju.

Tosia zajęta myślą o owych dożynkach, wcale już teraz nie wrywała się do obierania gruszek, które ją tak poprzednio zajmowały.

— A cóż to moje dzieci tak sobie skaczą? czy już rozpoczynają dożynki? — spytała matka, wchodząc do pokoju.

— Tak, tak, matuniu kochana! — rzekł Kostuś, całując matkę w rękę — próbujemy, czy potrafimy tańczyć na dożynkach.

— Ach, moja matuniu, jak ja się też cieszę z tych dożyneków! — mówiła Tosia.

— I ja się bardzo cieszę, — rzekła matka, uśmiechając się — ale przedewszystkiem trzeba pomyśleć o tem, żeby nasi goście mieli czem się posilić.

— To i goście będą? — spytała Tosia.

— Jakże chcesz: dożynki bez gości? — mówiła matka. — Przyjdzie Jagusia, Wawrkowa, Marcin...

— Ech, tacy goście!... — skrzywiła się Tosia.

— Och, moja dziewczeczko! — rzekła matka, przygarniając ją do siebie — to są bardzo ważni dla nas goście, a nie tylko goście, ale i współpracownicy. Pomyślcie tylko: czy na polach kołysałoby się tak zboże, gdyby wieśniacy nie dopomogli nam w uprawie i obsianiu pola? albo coby się potem stało z owym płowem żytkiem i złotą pszeniczką, gdyby oni jej nie skosili? Ani ja, ani ojciec nie podałibyśmy tej pracy, a wieśniacy zżęli zboże i zwieźli je do stodoły. Przed miesiącem jeszcze wszystko było na polu, a każda chmurka groziła nam deszczem; a teraz oto, pola smutno wyglądają, to prawda, ale za to w stodołach wesoło, bo pełno. Tak, moje dzieci, trzeba przygotować jakiś poczęstunek dla naszych współpracowników, którzy przyjdą pochwalić się ukończoną pracą — dodała matka, idąc do swoich zajęć.

— Ach, to i ja pójdę! — rzekła Tosia, przypomniawszy sobie owe gruszki, których obierania miała pilnować.

I pobiegła za matką, a wkrótce za nią i Kostas podążył.

Mimo tych zajęć, dzieci z niecierpliwością wyglądały zachodu słońca. A chociaż w sierpniu słońce dosyć wcześnie zachodzi, nie mogły

się jednak doczekać, aż skryje się za drzewa, a potem w rzece utonie.

Już przede dwór wyniesiono stół duży, na nim poukładano chleb i ser, obok postawiono beczkę smakowitych gruszek i jabłek, wytoczono też dużą beczkę piwa, postawiono kubki do picia, a dwie dziewczyny ze dworu gotowe były do rozdzielania tych wszystkich przysmaków. Tosia i Kostuś uprosili mamy, że im pozwoliła rozdawać wieśniakom przyrządzony poczęstunek, ale cóż kiedy tych gości nie było!

Ojciec powrócił już z pola, robotnicy także śpiesznie wracali, na niebie zajaśniały gwiazdy, księżyc, coraz wyżej z nad kościoła wypływając, stanął nad samym dworem, a owych oczekiwanych gości jak nie było, tak nie było.

— Może oni już dziś nie przyjdą? — rzekła Tosia, spoglądając ku bramie.

— Ale nie obawiaj się, przyjdą, przyjdą! — pocieszał ją Kostuś, lecz sam również zaczął się już niepokoić.

Wtem zdala ozwały się piskliwie skrzyпки, gruby odgłos bębna, a nad nim górował śpiew zniwiarzy.

Dzieci z radością spojrzwały na siebie. Tosia podskoczyła i ucałowała rękę mamy, Kostuś stanął poważnie przy ojcu.

Śpiew się zbliżał, aż nareszcie gromadka ludu przyszła przed ganek.

Na czele, w wieńcu na głowie, szła ta, którą
zwykle *przodownicą* zowią.

Wieśniacy stanęli, śpiewając:

Pusto już w polu, kłos się nie chyli,
Bośmy czyściutko wszystko skosili.
Kłos się nie kłania w polu, nie chwieje,
Otwórzcież wrota, albo wierzeje!
Plon niesiemy, plon
Dziedzicowi w dom!

A wyrzycie w pole, prosimy pana,
Boć na polu pusto dzisiaj od rana!
Zboże się nie kłania, nie chyli,
Bośmy je w stodole złożyli!
Plon niesiemy, plon
Dziedzicowi w dom!

Wynijdźcież ino do nas na ganek,
Bośmy przynieśli ten śliczny wianek!
Wianek ci śliczny z czystego zboża,
Co nam zesłała ta ręka Boża!
Plon niesiemy, plon
Dziedzicowi w dom!

Dzieci, słuchając owych śpiewów, bardzo
były uradowane.

Po prześpiewaniu kilku zwrotek, przodownica
złożyła wieniec, ojciec wsunął jej w rękę rubla,
a matka obdarzyła ją prześliczną czerwoną
wstążką.

Dzieci, widząc radość obdarowanej, zarówno prawie z nią się cieszyły. Tosia szepnęła coś do ucha mamie, a gdy mama skinęła głową na znak przyzwolenia, dziewczynka pobiegła do pokoju i wyniosła sznurek niebieskich paciorków, które dała także przodownicy.

Tymczasem muzyka grała, a przygotowany posiłek rozdawano pomiędzy wieśniaków. Przodownica zaś, chcąc się wywdzięczyc za podarunki, poszeptwała z innymi, i zaczęto znów śpiewać:

Nie tęsknijcie ino, paniątka, do miasta,
Damyć wam z pszeniczki bieluchnego ciasta,
Tak bieluchnego, jako buzia Tosi,
Co jako kwiatek radość nam przynosi;
A i pan Kostuś też grzeczny paniczek!
Niechaj gra muzyka, żwawo ciągnie smyczek!
Hu, ha!

I jedna z dziewcząt poprosiła do tańca Kostusia, a druga Tosię. Dzieci uradowane obiegły dokoła dziedziniec, na którym tańczowano, a potem chodziły i rozmawiały z dziećmi wiejskimi, które za rodzicami na dożynki przybiegły.

Wszystkie wiejskie dzieci śmiało i wesoło odzywały się, lub też wzięwszy się za ręce, kręciły się w kółko, co bardzo bawiło naszych młodych znajomych. Aż naraz Tosia spostrzegła stojącego pod drzewem chłopczyka, który wcale

z innemi dziećmi się nie łączył. Stał oparty o drzewo, a przygrywając na dwóch patyczkach, jakby na skrzypcach, śpiewał półgłosem:

„Matusiu, matusiu, gdzieście się podzieli?

„Czemuście, czemuście Walusia nie wzięli?“

— Patrz-no, Tosiu, jakie to zabawne maleństwo! udaje, że gra, śpiewa — rzekł Kostuś, stojąc razem z siostrą obok chłopczyka.

— Ale jak on smutno śpiewa! — odrzekła Tosia, przypatrując się chłopcu i słuchając jego śpiewu.

Chłopiec tymczasem, nie zwracając uwagi na stojących obok niego, śpiewał dalej:

„W skrzyneczkę drzewianą matusię włożono,

„Zasnęła matusia, nie ocknie się pono,

„Śpiewali matusi i tutaj śpiewają,

„Ale mi skrzypeczki smutno jakoś grają.“

— Co ty za jeden? — zapytał Kostuś, zbliżając się do chłopca.

Chłopiec zamiast odpowiedzi, spojrział zdziwionemi oczyma na dzieci; najwidoczniej nie zrozumiał pytania i nie przestając grać na swoich patyczkach, nic im nie odpowiadał.

— Czyjżeś ty? — zapytała Tosia.

— Czyj? czyj? — powtórzył chłopiec z pewnym namysłem, przypatrując się Tosi.—A niczyj.

— Pewno matusi? — poddał Kostuś.

— Matusia tam w dole! — i pokazał ręką w stronę cmentarza — to ja niczyj! — dodał po chwili.

— Biedactwo! — rzekła Tosia ze łzami w oczach — to ty nie masz mamy?

— A nie! — odrzekł chłopiec, trąc brudną ręką oczy.

— Toś ty pewnie i głodny?—pytał Kostuś.

— Ba, a juści! — odpowiedział chłopiec.

— To chodź z nami! — rzekła Tosia, biorąc go za rękę.

Chłopiec spojrział z pewną obawą na dziewczynkę, i szedł powoli, nieśmiało.

Tosia przyprowadziła chłopczyka przed ganek, dała mu chleba i sera, a Kostuś opowiadał rodzicom, że znaleźli chłopca zdala od tańczących żniwiarzy, śpiewającego smutno pod drzewem.

Kilka wieśniaczek zbliżyło się również przed ganek i jęło opowiadać, że to ten sam chłopiec, którego matkę pochowano wczoraj na cmentarzu, że ta matka kilka tygodni temu przyszła zdaleka do sąsiedniej wsi i tam umarła.

— Chudziątko, teraz oto samo zostało! — rzekła jedna z kobiet, westchnąwszy.

— Pan Bóg zawsze nad sierotami!—dodała druga.

Chłopiec tymczasem zajadał chleb i ser ze smakiem, a potem zbliżywszy się do Tosi, rzekł:

— To kiedy tamta matusia w dole, to ty będziesz moją matusią, boś dała chleba.

I objął nisko dziewczynkę za nogi, jak to zwykle czynią dzieci wiejskie, gdy za co dziękują.

Tosia zarumieniała się i spojrzała na rodziców, którzy troskliwie wypytywali malca, skąd matka przyszła i czem się zajmowała.

Chłopiec jednak niewiele umiał powiedzieć. Wiedział tylko, że mu imię Waluś, że mieszkali stąd bardzo daleko, że matka szła do jakiegoś stryja, lecz stryja nie znalazła. W końcu w drodze zachorowała; leżała u jednych dobrych ludzi, co jej czasem jeść dali, a potem oczy zamknęła i w dół ją zakopali. Nie wiedział, jak się nazywa, ale za to umiał dużo piosenek, które sam sobie składał. Od ludzi ze wsi o matce, ani o chłopcu nic więcej nie można się było dowiedzieć.

A muzyka tymczasem przygrywała, wieśniacy tańczyli; czasem tylko który przystanął, popatrzał na biednego chłopczyka, posłuchał co mówią, i dalej puścił się w tany. Lecz za to Kostuś i Tosia najzupełniej zapomnieli o tak upragnionej zabawie.

Tosia w niemałym teraz była kłopotcie, co zrobić z przyprowadzonym chłopczykiem, który zaśpiewawszy jeszcze jakąś smutną piosenkę, położył się u jej nóg i zasnął spokojnie, nie troszcząc się o dalsze swoje losy.

— I cóż ty z nim teraz zrobisz? — zapytał Kostuś siostry.

— Hm! ja nie wiem, ale przecież nie mogę go opuścić—mówiła z poważną miną Tosia.— Słyszałeś przecież, że ten chłopczyk nie ma matki i że chce, żebym ja była dla niego matką.

— Tak, ale gdzie go umieścisz i co mu dasz jeść? — pytał brat, zajęty również losem malca.

— To też to cała bieda! — mówiła zafra-sowana Tosia. — Jeść to mu kupię; bo przecie wiesz, że tatuś dał mi trzy ruble i pozwolił za nie kupić co mi się podoba. Otóż mnie się podobało kupić temu chłopcu chleba. A oprócz tych trzech rubli od tatusia, mam jeszcze dwa ruble, które dostałam od babci na cukierki; ale ja nie chcę cukierków, co mi tam!

— Masz słuszność! — rzekł Kostuś — i ja również mam trzy ruble od tatusia i dwa ruble od babci, to za te pieniądze kupimy chłopczykowi ubranie. Ale gdzie on będzie sypiał? — dodał, namyślając się.

— No, to już ja pomyślę o tem! — rzekła matka, która chcąc dzieciom zostawić przyjemność spełnienia dobrego uczynku, nie wdawała się do ich rozmowy.

— Ach, jaka mamunia dobra! — zawołała Tosia, całując ją w rękę.

— Może i nie taka dobra, jak ci się zdaje — odrzekła mama. — Trzeba ci wiedzieć, moje dziecko, że dam biednemu sierotce nietylko kącik do sypiania, ale nawet i jedzenie, musicie mi jednakże za to zapłacić.

— Z chęcią, z chęcią! — zawołały dzieci. — Wszakże mamy pieniądze.

— Nie idzie mi o pieniądze, — odrzekła matka — schowajcie je na ubranie i naukę chłopca. Bo kiedyście go wzięli pod swoją opiekę, to naprawdę trzeba się nim zająć.

— A czemże mamie będziemy płacili? — zapytała Tosia.

— Oto każde z was codziennie, w jesieni i zimą, godzinkę wieczorem będzie uczyć czytać czeladź dworską.

— Najchętniej! — zawołały dzieci, ściskając znowu mamę.

— Ale ten mały Waluś to już będzie moim wychowancem! — ozwała się Tosia.

— I moim! — dodał Kostuś.

— Ale rozumie się! — rzekła matka — ja wcale mieszać się do niego nie będę. Pamiętajcie tylko o naszej umowie.

— Och, niech się mama nie obawia! — odrzekły dzieci wesoło.

Wtem muzyka jeszcze raźniej zagrała, a kilku wieśniaków i wieśniaczek, przystanąwszy przed gankiem, śpiewało:

„Nad naszym państwem jest łaska Boża,
„Pełno w stodołach i w stertach zboża,
„Bo w naszym dworze takie zwyczaje,
„Kto nie ma chleba, to mu dwór daje.“

A prześpiewawszy, tańczyli dalej.

Po chwili jednakże stanęli znowu przed gankiem, śpiewając:

„Ponad dworem gołąbek leci,
„A w naszym dworze dobre są dzieci.
„Dziś przygarnęli sierotę małą:
„Oby im szczęście Niebo zesłało!
„Oj, dobre dzieci! Bóg wam pomoże
„Za tego chłopca, mój mocny Boże!“

Dzieci zarumieniły się, usłyszawszy pochwałę, a księżyc, przypatrujący się z wysoka, jaśniej jeszcze na świat spojrzął, jak gdyby się rozradował z dobrego uczynku naszych znajomych.

Tosia i Kostuś, zapewniwszy się, że Waluś śpi spokojnie w przeznaczonej izdebce, bawili się wesoło. Lecz wkrótce muzyka i śpiewy umilkły, wieśniacy porozchodzili się do domów, a dzieci uszczęśliwione i z zabawy i ze swego dobrego uczynku, zasnęły spokojnie.

Tosia, wzięwszy na siebie obowiązek opiekuńki małego Walusia, niemało miała do roboty. Z pomocą mamy zajęła się ubraniem chłopczyka, uszyciem dla niego odzienia. A odzienie

to było mu bardzo potrzebne, bo miał na sobie bardzo brudne i podarte.

W jesieni i zimę Tosia i Kostuś, jak to mamie przyobiecali, codziennie godzinę wieczorem uczyli czytać młodszych chłopców i dziewczęta dworskie, wypłacając się tem za utrzymanie swego wychowanka. Ucząc innych, i o Walusiu nie zapominali.

We trzy lata potem, kiedy Waluś skończył już lat dziesięć, oddano go do miasteczka na naukę do stolarza.

Waluś, wdzięczny swoim opiekunom, już drugi rok uczy się stolarstwa. Majster jest z niego bardzo zadowolony, a jeżeli chłopiec będzie i nadal taki posłuszny i pilny, to wyjdzie z pewnością na porządnego człowieka.

Że zaś ani Waluś, ani nikt nie wiedział nazwiska jego rodziców, nazwano więc chłopca Dożynek.

Otóż ów Walenty Dożynek zawdzięczać będzie los swój Kostusiowi i Tosi, którzy przyrzekli się nim opiekować, pamiętają o tem, że raz przyjęty obowiązek trzeba zawsze sumiennie wypełnić.

IX.

Sadownik.

Przy jednej z ulic małego miasteczka rozciągał się duży sad czyli ogród owocowy. Od ulicy był on oddzielony wysokim parkanem, lecz z ponad wysokiego parkanu wyglądały piękne rozrosłe drzewa, na których zwieszały się złotawo-żółte gruszki, czerwone jabłka i czerniały wpośród liści okryte barwą śliwki.

We wrześniu, kiedy wszystkie owoce, dojrzewając powoli na ciepłym słończku, nabierają najlepszego zapachu i smaku, nie potrzeba było nawet spoglądać do góry, a każdy domyślił się, że poza parkanem muszą być doskonałe owoce, bo jak tylko się weszło w ulicę, zaraz nęciły zapachem.

Nie można się więc dziwić, że chłopcy, idąc lub wracając ze szkoły, pożądliwie na ten parkan spoglądali.

Czasami nawet przez deski, niedosyć szczelnie przystające, lub też wypadłe sęki, spoglądali

dali do sadu, przypatrując się wiszącym pomiędzy gałęziami smakowitym owocom.

Nie dziwił im się jednak stary kulawy sadownik, lecz owszem, widząc, że mu szkody nie robią, wychodził czasami przed furtkę parkanu i dawał po gruszcze lub jabłku, mówiąc:

— No, macie, macie, moje dzieci, tylko mi szkody nie róbcie!

Chłopcy, uszczęśliwieni z podarunku, rozbiegali się po mieście, chwalili dobrego sadownika, i żadnemu z nich na myśl nie przyszło rzucić przez parkan kamieniem, ażeby otrząsnąć owoce.

Zresztą chłopcy ci od rodziców i od nauczyciela wiedzieli oddawna, że nigdy nie trzeba brać cudzych rzeczy. A owoce, rosnące tam za parkanem, nie były ich własnością. Lecz nie wszystkie dzieci są tak szczęśliwe, że mają rodziców i chodzą do szkoły.

I w miasteczku, zaraz tuż obok owego sadu, mieszkał taki nieszczęśliwy Jurek.

Nie miał on już matki, któraby go uczyła co złe a co dobre. Ojciec zaś był nawet dosyć bogaty, lecz zajęty rozmaitymi interesami i handlem, ciągle wyjeżdżał z domu, a Jurek rósł, jak dzikie drzewko. Miał już lat dwanaście, a nie umiał jeszcze ani czytać, ani pisać.

Czasami przypominał sobie, że go niegdyś matka uczyła pacierza, i wtedy, gdy widział inne dzieci modlące się, i on próbował się modlić. Lecz cóż, nie pamiętał pacierza, a taki był

roztrzepany, że kiedy chciał sam ze swojego serca pomodlić się, to wtedy albo pies głośniej zaszczeakał, albo oto właśnie zawołano go do jedzenia, lub ptak jakiś przeleciał — i Jurek o modlitwie zapominał.

Ojciec, gdy był w domu, sprawiał mu ubranie, napędzał do szkoły; lecz jak tylko ojciec wyjechał, Jurek zamiast iść do szkoły, wdrapywał się na dach, zaglądał do gniazd ptasich, wsiadał na żrebaka i harcował na nim po łące, darł ubranie, a o pójściu do szkoły ani myślał.

Dla takiego więc Jurka sąsiedztwo owocowego ogrodu było bardzo ponętne. Jurek wchodził na dach obórki, przytykającej do sadu, i stamtąd długą tyką zrywał najpiękniejsze gruszki lub jabłka, strząsając przytem i psując niedojrzały owoc.

Biedny kulawy sadownik codziennie około drzew znajdował dużo liści, owocu, a często nawet połamane gałęzie.

Jurek zaś tak się urządzał ze swojemi psotami, że stary sadownik nigdy go na gorącym nie złapał uczynku.

A gdy potem sadownik pytał się Jurka, czy nie widział, ktoby mu tę szkodę zrobił, Jurek, śmiejąc się pocichu, z najniewinniejszą miną udawał, że nie wie o niczem.

We wrześniu bywają już noce chłodne, a stary, kulawy sadownik, przeziębwszy się przy pilnowaniu ogrodu, mocno zachorował.

Nie mógł więc wychodzić ze swego schroniska czyli budy, a tylko mały jego wnuczek Marcin i pies Obal pilnowali ogrodu.

Jurek, dowiedziawszy się o tem, postanowił skorzystać z choroby sadownika.

Namówił więc kilku innych takich jak sam próżniaków, i razem mieli wpaść w nocy do ogrodu.

— Przyjdźcie do mnie dzisiaj wieczorem! — mówił niedobry chłopiec — bo jak się wszyscy spać położą, my wtedy po dachu naszej obórki spuścimy się do sadu i narwiemy sobie owocu dowoli!

— A czy wiesz, gdzie jest najpiękniejszy? — spytał jeden z towarzyszków.

— Ba, takżel! jeszczebym też tego nie wiedział! — odrzekł Jurek.

— A śliwki są już dojrzałe? — spytał drugi.

— Ho, ho, ale jakie! jak weźmiesz do ust, to ci się same rozpląną! — zachwalał Jurek, mlaskając językiem.

— Ale czy nas tylko nie złapią? — pytał jeden z trwożliwszych.

— No, to kiedyś tak bojaźliwy, to wcale nie przychodź! — rzekł Jurek rozkazująco.

Chłopiec, obawiając się utracić owe słodkie śliwki, co się same w ustach rozplývają, zapewnił, że się niczego nie boi, i wszyscy umówili się, że w dzień przygotowują sobie tyki do strącania owocu, a wieczorem zakradną się do ogrodu.

Lecz Anioł Stróż, który czuwa nad dziećmi z rozkazu Boga, nie dozwolił, żeby Jurek i jego towarzysze taką szkaradną kradzież popełnili.

Wtedy właśnie, kiedy Jurek ze swymi niedobrymi towarzyszami umawiał się na łące, rozciągającej się tuż pod miasteczkiem, Marcinek, wnuczek sadownika, zbierał tam jakieś zioła dla dziadka. Że zaś był bardzo zmęczony, położył się na chwilę w gęsto wyrosłej trawie pod krzakiem i podsłuchiwał rozmawiających. Leżał cichutko, nie ruszając się, i dopiero gdy Jurek i jego towarzysze rozbiegli się po łące, krzyżąc i dokazując jak zwykle, Marcinek wysunął się ze swego ukrycia.

Wracając, myślał sobie, jakby tu złemu zaradzić. Dziadek był chory, Marcinek sam tylko pilnował ogrodu, — co tu począć? Rozmyślając tak nad swoją biedą, westchnął kilka razy i prosił serdecznie Boga, żeby mu dał dobre natchnienie. Po krótkiej i szczerej modlitwie jakoś lżej na sercu mu się zrobiło, i ufny opiece Boga, nie już nawet dziadkowi o całym swoim strapieniu nie mówił.

Po chwili snadź Marcinkowi przyszła jakaś dobra myśl do głowy, bo gdy dziadus wyszedł przed budę, żeby się ogrzać na słońcu, on wziął dzbanek i wybiegł z ogrodu.

Przy studni spotkał się z Jurkiem, który nie mając co lepszego do roboty, rozdeptywał

błoto około studni, walając nowe buty, które mu właśnie ojciec tylko co kupił.

— Hej, Marcinek! — zawołał Jurek, stawiając nogę z powalany w błocie butem — napompuj mi tutaj wody na buty, to się obmyje!

Marcinek z ochotą uczynił mu tę przysługę, a potem rzekł, wzdychając:

— Oj, Jurku, Jurku! jakie też ja mam ciężkie strapienie.

— A co takiego? — zapytał Jurek. — Może ci kto śliwki poobrywał? — dodał ciekawie: — boć to twój dziadek chory, a ty podobno jesteś sadownikiem.

— Ech, jeszcze nikt nie oberwał, ale się tak boję, żeby mi kto szkody nie zrobił! — mówił Marcinek, spoglądając na Jurka, który usiadłszy na leżącym drągu, jak na koniu, uśmiechał się tylko.

— Bo to widzi Jurek, dziaduś taki już stary, zdrowie sterał w wojaczce, teraz się przeziębził, pilnując ogrodu; rany mu się odnowiły, chodzić po nocy nie może, a jak nam kto resz-tę owocu oberwie, to co my zrobimy?

— Och, i cóż tam wielkiego, że wam kto trochę owocu weźmie? przecież macie go tak dużo!

— Tak, to prawda! dzięki Bogu, jest dużo owocu, ale też jak źle będziemy pilnowali, to właściciel ogrodu na przyszły rok weźmie sobie innego sadownika, a dziaduś potem co zrobi? Ja jeszcze nie umiem pracować.

Jurek spojrział na Marcinka, bo tak jakoś żaden z jego towarzyszków nigdy do niego nie mówił, jak ów Marcinek.

— A pocóż masz pracować? — zapytał.

— Ba, a z czegożbyśmy żyli? Któżby nam dał jeść, mieszkanie i okrycie? — mówił Marcinek. — Dziadus powiada, że taki co nie pracuje, to jest próżniak.

Jurek otworzył szeroko oczy i spojrział na Marcinka.

— I cóż tam jeszcze twój dziadus powiada? — zapytał Jurek, wyciągając się jak długi na leżącym drągu.

— O, dziadus dużo rzeczy powiada, a zawsze mi przykazuje, żebym nigdy nie brał tego, co nie moje. Bo taki, co weźmie choćby cudzą szpilkę, to już jest złodziejem.

Jurek odwrócił się od Marcinka i w inną spojrział stronę.

— A to widzi Jurek — mówił dalej Marcinek — są tacy, co nawet do sadu się zakradają; oni chyba nie wiedzą, że to wielki grzech brać cudzy owoc; ja ich się boję...

— Boisz się ich, a bardzo? — zapytał Jurek, stając przed Marcinkiem.

— Och, tak! bardzo się boję, szczególnie teraz o te najpiękniejsze owoce.

— A to ich pilnuj! — rzekł Jurek, odchrząknąwszy.

— To też będę pilnował, ale cóż, dziadus

chory, to jaki zły człowiek może się do ogrodu zakraść, a ja sam nie dam sobie rady — mówił frasobliwie Marcinek.

Jurek nie już nie odrzekł, tylko poświstywał sobie, uderzając nowym butem o leżące drągi.

— Ot, wie Jurek co! — mówił dalej Marcinek — żeby to Jurek tak ze mną przez całą noc pochodził po ogrodzie, tobyśmy we dwóch prędzej się od szkodników obronili.

Jurek, usłyszawszy taką prośbę, spojrział bystro na Marcinka, który stojąc przy studni z pełnym dzbankiem wody, nie zabierał się jakoś do odejścia.

— No, Jurku! przyjdiesz dziś do mnie wieczorem? — zapytał Marcinek — toby już i dziaduś spokojnie w budzie się przespał, i nam we dwóch byłoby weselej.

Na powtórne zapytanie małego sadownika Jurek poczerwieniał cały, poprawił zgniecionego kapelusza na głowie, chrząknął, pomyślał chwilkę, a potem włożywszy ręce w kieszenie, rzekł z powagą:

— Bądź spokojny! dzisiaj żaden chłopiec z miasteczka do ogrodu się nie zakradnie!... Niechnoby! — dodał z pewną dumą — dałbym im dopiero!... No, no! Ja tam przyjdę do ciebie do ogrodu, tylko się zmierzchnie. Spuść się na mnie. No, zgoda! — i wyciągnął rękę do Marcinka.

— Zgodzi! — rzekł Marcinek, podając mu również rękę. — Bóg ci zapłać, kochany Jurku! — dodał Marcinek — dobry z ciebie chłopiec.

I uradowany mały sadownik pochwycił dzbanek z wodą i pobiegł do dziadka.

Jurek tymczasem pozostał na miejscu, patrząc jakoś dziwnie za odchodzącym.

— A to dopiero wbił mi klina w głowę! — myślał sobie Jurek. — Już teraz na nic nasza wycieczka do ogrodu. A fe, jakżeby mógł pozwolić, żeby kto zakradał się do ogrodu, lub też sam się zakradał, kiedy oto ten Marcinek prosił mnie, żebym razem z nim dziś w nocy ogrodu pilnował!.. A jednak szkoda tych owoców... — rozmyślał Jurek, siadając na drągu. — Hm... ale nie, nie! wszak takiego, co bierze cudze owoce pokryjomu, nazywają złodziejem. Ba, juści, to musi być niedobrze brać pokryjomu, kiedy nikt w biały dzień nie bierze, tylko po nocy — rozmyślał dalej Jurek. — Naprawdę, to złodziejstwo! Jeszczeby mnie złodziejem nazwali! ba, i mieliby za co! a już i tak nikt mi dobrego słowa nie da, tylko wszyscy nazywają urwisem! Dopiero pierwszy Marcinek powiedział mi, że jestem dobry chłopiec. Och, ten Marcinek to naprawdę nie głupi... Ale ja też mu krzywdy nie zrobię, oho, co nie, to nie! I sam nie nie zerwę i innym nie pozwolę!...

Nasi znajomi.

— Hej, Walek! Ignas! — zawołał nagle, zobaczywszy dwóch towarzyszków, siedzących na płocie i rzucających kamieniami na kąpiące się kaczkę w pobliskim błocie.

I pobiegł do nich.

— Ani mi się waźcie dziś wchodzić do ogrodu starego sadownika! — zawołał Jurek, stając przed nimi.

— A ty znowu co nam będziesz rozkazywał? — zapytał butnie Walek.

— Cóż to, czy to twój ogród, że nam zakazuje? — odciął się Ignas.

— Nie mój, ale ja go będę pilnował! rozumiecie? — odpowiedział dumnie Jurek.

— A to mi dopiero pilnować! — zaśmieli się siedzący na płocie. — Pewnie umyślnie się wprosił do pilnowania, żeby się sam najadł.

— Anim ja się zapraszał, ani będę się objadał, a będę pilnował, bo mnie o to Marcinek prosił, więc i sam nie zjem i nikomu nie dam zakraść się do ogrodu.

Chłopcy zaczęli się śmiać z niego, że się wybiera na służbę do sadownika.

— A co mi tam, to choćbym i służył, to i co w tem złego! — odrzekł butnie Jurek. — Wolę służyć aniżeli próżnować lub kraść.

— Ho, ho, jak to on zmądrzał! — zawołał Walek.

— A no, zmądrzał! — rzekł Jurek. — I to wiem, że teraz nigdy nic cudzego nie wezmę,

bo byłbym złodziejem, a jakbyście się zakradli do ogrodu, to i wy bylibyście złodziejami.

— A cóż to będziesz nas złodziejami przewywał! — zawołał Walek, i zeskoczył z płotu, stając przed Jurkiem gotowy do walki.

— A tyś co lepszego? — zapytał Ignaś.

— A i ja byłbym również złodziejem, gdybym razem z wami zakradł się do ogrodu! — rzekł spokojnie Jurek. — A jak nie pójdziecie pokryjomu do ogrodu, to powiem, żeście poczciwi, tak jak mnie powiedział Marcinek.

Walek i Ignaś spojrzeli na Jurka.

Tak samo, jak i Jurkowi, żal im było smakowitych owoców, na które zawczasu już ślinkę łykali, lecz dobry przykład jakoś i na nich podziałał. Zaczęli więc rozważać, co im Jurek powiedział.

Zresztą Jurek do wszystkich psot zawsze był najpierwszym, zawsze go we wszystkim słuchali, więc i teraz nie śmieli mu się opierać.

— No, nie pójdziecie? — zapytał Jurek.

— A no, jak ty nie pójdiesz, to i my nie pójdziemy! — odrzekli chłopcy, skrobiąc się w głowę.

I każdy poszedł w swoją stronę.

Jurek tak jak przyrzekł, zaraz o zmierzchu poszedł do sadu i razem z Marcinkiem pilnował owocu noc całą. Nikt im jednakże nie mącił spokoju, bo Walek i Ignaś nie myśleli zakradać się do ogrodu.

Jurek coraz więcej zaprzyjaźniał się z Marcinkiem, codziennie do niego przychodził, a nawet mu się przyznał, że wtedy, kiedy go Marcinek przyszedł prosić o pomoc, miał właśnie zakraść się do ogrodu.

— Gdyby nie ty — mówił Jurek — byłbym został szkaradnym złodziejem, ale jakieś mnie poprosił o pomoc i powiedział, że jestem dobrym chłopcem, to mi się tak dziwnie coś w piersiach zatrzęsło, a potem jakiś mi głos szepnął do ucha, żeby się poprawić.

Marcinek był uszczęśliwiony, że się wziął na taki dobry pomysł, bo nietylko że szkody nie miał w ogrodzie, ale jeszcze zyskał w Jurku dzielnego towarzysza.

Jurek bowiem w gruncie był dobrym chłopcem, tylko próżniactwo byłoby go naprowadziło na bardzo złą drogę.

Teraz przesiadywał ciągle w ogrodzie. Stary sadownik Jurkowi i Marcinkowi opowiadał ciekawe rzeczy ze swojej wojaczki z lat młodych i dawał czasami owocu, którym Jurek znów dzielił się z dawnymi towarzyszami wszystkich swoich psot i figlów.

Lecz i ci chłopcy, których Jurek często do psot prowadził, również poszli za jego przykładem. Walek i Ignasz, zamiast włóczyć się po całych dniach po miasteczku, poszli do służby. Ojciec zaś Jurka, przybywszy do domu, nie poznał prawie syna.



— Ani mi się wazcie dziś wchodzie do ogrodu starego sadownika!



Jurek przez te kilka tygodni nie podarł ubrania, nikt się na niego nie skarżył; zapytany, grzecznie odpowiadał, a nawet prosił ojca, ażeby go oddał napowrót do szkoły, bo go wstyd, że dotąd nie umie ani czytać ani pisać.

Gdy się ojciec dowiedział, kto na taką dobrą drogę Jurka naprowadził, poszedł do starego sadownika, podziękował mu za to. A że był zamożnym mieszczaninem, Marcinka razem z Jurkiem swoim kosztem oddał do szkoły.

Obadwaj chłopcy doskonale się uczą i szczerze się nawzajem kochają. Jurek zaś zawsze powtarza, że chociażby kto był najgorszy, jak tylko zechce i popracuje nad sobą, to się ze swoich błędów poprawi.

Koledzy bardzo lubią Jurka i Marcinka, lecz często ich przez żart nazywają sadownikami. Jurek nie gniewa się o to przezwisko, bo przyznaje, że nawrócenie na dobrą drogę winien sadownikowi.

X.

L e n.

Było to w październiku, a dziewięcioletnia Stasia ze starszą siostrą Ludwisią w samo południe wybrały się na spacer.

Słońce, jakkolwiek blado, lecz jasno i pogodnie przyświecało, a dzień był ciepły, jak to często u nas bywa w jesieni. Lecz mimo tego słońca i ciepła, smutno jakoś dokoła.

Na polach opustoszałych widać było tylko rżysko, a pomiędzy niem gdzieniegdzie zieleńcą trawkę. Ziemia zorana nie pachniała taką świeżością, jak na wiosnę; w ogrodach nie kołysały się rozrosłe liście jarzyn, lecz ziemia świeżo rozkopana i gdzieniegdzie powiędłe liście lub zostawione łodygi świadczyły, że starowne i troskliwe gosposie wykopały już wszystkie jarzyny.

I ptaki nie świergotały, lecz przechadzając się poważnie pośród pasących się gąsek, po rżysku szukały pożywienia.

Oj nie, nie świergotały one tak jak na wiosnę, były smutne i zamyślone; czasem tylko, przekrzywiając główki, przypatrywały się i cieszyły z owego słoneczka, które teraz tak ni-ziutko rozścielało swoje złote promienie.

W polu i w ogrodach było pusto, lecz za to około chat wieśniaczych pełno było gwaru i ruchu.

Przed każdą prawie chatą leżały pęki lnu szarego, a pracowite kobiety tarły go na cierlicach, przyspiewując sobie przy pracy. Stukot cierlic, gwar i śpiew rozlegał się dokoła, odbijając daleko rozgłosnem echem.

A Stasia razem z siostrą szły sobie przez wieś; przed każdą prawie chatą zatrzymywały się, witając wygrzewające się na jesiennem słońku dzieci, a nawet kilkoro obdarzyły jabłuszkiem lub garstką orzechów, które zwykle brały w koszyczek, na wieś wychodząc.

I tak gawędząc i śmiejąc się, obiedwie panienki dobiegły aż do końca wioski.

Zdala od wsi stała jeszcze jedna chata biedna i tak w ziemię zapadła, że zaledwie ją widać było z poza krzaków i chróścianego płotu. W chacie tej mieszkała uboga wyrobni-
ca z córką Kasią, o parę lat starszą od Stasi.

Za chatą rozciągała się mała łączka, i kiedy już Stasia razem z siostrą miały wrócić do domu, usłyszały nagle płacz, a jednocześnie śmiech i głośne wołanie:

— A no, a no! zawracaj, tam ode drogi!

Spojrzały, skąd pochodziły owe krzyki, i szybko się usunęły, bo oto kilku chłopców wiejskich popędzało przez drogę gromadę cieląt; za uciekającymi zaś chłopcami biegła znana im dziewczyna Kasia, płacząc i wołając żałośnie:

— Mój len, mój len! och, mój Boże, co ja teraz pocznę!

Im więcej Kasia wołała i płakała, tem więcej chłopcy się śmieli, zabiegając drogę wystraszonem cielętom. Cielęta podskakiwały i otrząsały łebki z szarych długich łodyg, a rozwłócząc je na wszystkie strony, oplątywały sobie nogi, co tem śmiesznijszem jeszcze czyniło ich podskoki.

— Mój Boże, mój Boże! co ja teraz pocznę! — wołała wciąż Kasia. — Och, te szkaradne chłopczyska! — dodała — jeszcze się śmieją! tyle szkody! tyle szkody!

— Co ci to, Kasiu? — zapytała Stasia, gdy już chłopcy przepędzili cielęta, i obiedwie siostry mogły się zbliżyć do płaczącej dziewczynki.

— Ach, proszę panienki! proszę panienki! — mówiła Kasia, całując w rękę Ludwinię i Stasię. — Rozstawiłam len na łączce, ot tam za chatą, żeby sobie na słoneczku do reszty przesechł, a tu oto te chłopczyska jak zaczęli przepędzać cielęta, tak wpadły na łąkę i wszystek len potargały i rozniosły. Och, niech-no panienki

spojrza, na co się to zdało! — mówiła zapłakana dziewczyna, podnosząc z ziemi połamane i potargane lnu łądygi. — Tu i garstki nie wybierze! — dodała.

— I dużą ci szkodę zrobili! — zapytała Ludwinia.

— Och, moja panienko, ale jaką! Wszystek len na nic! Matka poszła na cały dzień do roboty za najem, a ja oto tej garstki lnu nawet nie mogłam jak należy upilnować. Oj, będą się gniewali matusia! bo też i szkoda niemała. Co my też to teraz bez tego lnu poczniemy! — biadała dziewczyna.

— Czy to wszystek len tak ci popsuli? — zapytała znowu Ludwinia.

— Wszystek, panienko kochana, tylko garsteczkę wytarłam, a resztę i to najpiękniejszego ustawiłam oto! Niech panienki ino pozwolą na łączkę, to zobaczą, że i tamten co został, to na nic! — mówiła skłopotana Kasia, prowadząc obiedwie siostry.

Rzeczywiście na owej łączce len tak samo był porozrzucany, jak i na drodze, a Kasia, zbierając go troskliwie, nawet dwóch dobrych garści zebrać nie mogła.

— I cóż tam znowu tak płaczesz i narzekasz! — rzekła Stasia. — Trochę lnu, to przecież nie taka wielka szkoda.

— Co też to panienka mówi! — rzekła Kasia, załamując dłonie. — Niewielka szkoda! a cóż

my bez lnu poczniemy! Matka mówiła, że z najcieńszego miała uprząść ładnie i dla dziadusia utkać płótna na koszulę, z grubszego dla mnie i dla siebie. A i pakuły, to jak skręci, to jeszcze z tego choć sznurek się zrobi, a nie, to knotek do lampki przed obraz, a teraz co? ledwo oto na nitki się uprzedzie. Oj, szkoda mojego lnu! szkoda! a jeszcze do tego matusia mnie wybija!

I biedna dziewczyna gorzkimi zalewała się łzami.

— No, no! nie płacz, nie płacz! — mówiła Stasia, nie mogąc zrozumieć, ażeby garstka rozstawionego do suszenia lnu rzeczywiście taką wielką szkodę przyniosła.

— Prawda, że masz szkodę! — mówiła Ludwina, która jako starsza, więcej rozumiała zmartwienie Kasi — ale może się to jakoś zaradzi.

Kasia jednakże niewiele zważała na tę pocięchę panienek, tylko zbierała i zgromadzała porozrzucany len, nie zostawiając ani najmniejszej łodygi. Obiedwie panienki dopomagały jej w tej pracy, lecz Stasia, jakkolwiek żał jej było płaczącej Kasi, uśmiechała się tylko, a za każdym zebraniem ździebełkiem, mówiła:

— No, masz, masz te wielkie skarby!

— Oj, panienko kochana! z pewnością, że len to wielkie skarby! ale co tu będzie robić bez niego — wdychała dziewczyna.

Stasia miała dobre serduszko, to też choć nie mogła pojąć szkody, jaką miała Kasia, żal jej się zrobiło zmartwionej dziewczynki i myślała, jakby jej tę szkodę nagrodzić. Ale i cóż tu robić? przecież len tak odrazu na zawołanie nie wyrośnie.

Po krótkiej jednakże naradzie z siostrą, Stasia postanowiła za swoje własne pieniądze, których jej rodzice pozwalali użyć na wspomaganie biednych, kupić owych kilka garstek lnu i tym sposobem uspokoić zmartwioną dziewczynę.

Obiedwie więc z siostrą przyrzekły Kasi, że niezadługo powrócą, i że może jakim sposobem len rozrzucony pozbiorają.

Dziewczynka podziękowała panią i dalej zbierała rozrzucone ździebełka.

Stasia i Ludwinia, wracając, zaraz przy pierwszej chacie spotkały krzątającą się kobietę i len rozstawiony około chróścianego ogródka.

Pozdrowiwszy ją, Stasia poczęła:

— Moja Walkowa, macie wy dużo lnu?

— A jest, dzięki Bogu, panienko, przynajmniej płótna mi nie zbraknie! — odpowiedziała kobieta.

— To sprzedajcie mi parę garstek—prosiła Stasia.

— Oj, panienko kochana! a któż to słyszał len sprzedawać? Zasiałam go tylko tyle, co

dla siebie, a mam oto te robaki, co czekają koszuli — dodała kobieta, wskazując kilkoro różnego wieku dzieciak.

— No i cóż tam, każdemu po parę koszulek, to i dosyć! — mówiła Stasia.

— Ale, panienko kochana! — przerwała kobieta. — Gdzie tam tylko koszulek! Z ładniejszego lnu to się przędzie na koszulę, a z gorszego to się grubiej uprędzie, utka się płótno, ufarbuje na modro, to będzie przyodziewek i dla *mojego* i dla mnie i dla dzieciaków. Nie, panienko kochana, lnu żadna porządna gospodyni na wsi nie sprzeda, bo każde ździebełko potrzebne. Oj, len to wielkie bogactwo!

I skrzętna Walkowa, nie tracąc czasu na rozmowę, zabrała się dalej do swojej roboty.

Stasia i Ludwinia, widząc, że nic nie zyskają, poszły ku domowi.

Stasia jednak, niezrażona odmową Walkowej, wstępowała prawie do każdej chaty, chcąc koniecznie kupić lnu dla Kasi. Wszędzie jednak odpowiadano jej w ten sam sposób, co i Walkowa, wyliczając, jak to z tej szarej roślinki wszystko jest pożyteczne.

— Nawet najgrubsze odpadki, to i te jeszcze w gospodarstwie się przydadzą, choćby do opatrzenia chaty i utkania okien na zimę — mówiła jedna z kobiet.

Nareszcie zatrzymały się przed największą chatą, gdzie mieszkała Marcinowa, najzamożniejsza z całej wioski gospodyni.

— Moja Marcinowa, sprzedajcie mi kilka garści lnu, takiego niestarego i nieoczesanego! — prosiła Stasia.

— Och, moja złota panienko! a cóż paniencie po takim lnie?

— Potrzeba nam bardzo! — dodała Ludwisia.

— Panienki moje złote, lnu wam chyba nikt nie sprzedaje; może taki, co go sieje tylko na sprzedanie, ale tutaj u nas, na wsi! każdy ma ino dla siebie.

— Przecież wy, Marcinowo, macie koszul i wszelkiej bielizny dostatek, to moglibyście nam lnu trochę sprzedać! — nalegała Stasia.

— Prawda, panienko! że dzięki Bogu jest bielizny dostatek, a i płótna w komorze jest jeszcze zapas. Ale z tegorocznego lnu, to już tak sobie powiedziałam, że uprzedę cieniutko, utkam równo i oddam na obrusy do kościoła, boć to panienom wiadomo, że w kościele, do obsługi przy Mszy świętej, to tylko czysto lniane płótno może być użyte. A też powiem jeszcze panienom, że moja najstarsza wnuczka wyuczyła się robić śliczne cieniutkie koronki w mieście, to i na to potrzeba nitki lnianych, cienkich a równych. Oho, i len do tego trzeba nie byle jako przysposobić! Porobi ona obszycia do obrusów! a niech tylko panienki jej nie mówią! — dodała, uśmiechając się Marcinowa — ale ona powiedziała, że jak

zrobi ładnie kilka łokci tych koronek, to i pańienkom przyniesie.

— Bóg zapłać waszej wnuczce za jej dobre chęci! ale cóż, kiedy nam dzisiaj tak koniecznie kilkanaście garści lnu potrzeba — rzekła zafrasowana Stasia.

— Albo to we dworze niema lnu u państwa? — pytała Marcinowa.

— A właśnie, że wcale niema — odrzekła Ludwisia.

— I na co też pańienkom ten len tak koniecznie potrzebny? — pytała zaciekawiona Marcinowa.

— A to widzicie, moja Marcinowo! — mówiła Stasia — chcieliśmy ten len dać Kasi. Tej, co tam w ostatniej chacie za wsią mieszka z matką...

— A przecież one miały sporo lnu! — rzekła Marcinowa.

— Tak, miały, to prawda! — odpowiedziała Ludwinia — ale im dzisiaj taką szkodę zrobili, a Kasia tak płacze biedaczka.

I pańienki opowiedziały całą przygodę.

— No, nie dziwić się, że płacze, boć ją to niemała szkoda spotkała! — rzekła, zamyśliwszy się Marcinowa. — Matka jej to *chudzina*, biedna wyrobnica, a jeszcze ma starego dziadka, chorego, co ma rany na nogach, to tam każdy strzępek lniany się przyda. Oj, bo to pańienko kochana, płótno tak chłodzi rany! —

rozprawiała Marcinowa. — Ale widzi panienska, — mówiła dalej kobieta — jeżelic to ta Kasia miała taką szkodę, to jej trzeba pomódz... tylko nikt za to pieniędzy nie weźmie. Ja oto zaraz jej dam pęczek lnu, a pójdę po wsi, to każda sąsiadka od siebie dorzuci. No, no, niech panienska będą spokojne! Kasi lnu nie zabraknie, będzie go miała, tylko nie za pieniądze.

I tak gawędząc, Marcinowa składała równe ususzone garście lnu, wiążąc je w spory pęczek.

— To będzie dla Kasi! — rzekła, odłożywszy na bok — niech ino przyjdzie, to sobie zabierze.

I tak, jak Marcinowa rzekła, tak się też stało.

Przed wieczorem, Kasia miała już pełne podwórko lnu. Miała go nawet więcej, aniżeli przedtem, nim jej cieleta szkodę zrobiły.

Żadna bowiem wieśniaczka nie chciała lnu sprzedać, lecz każda, dowiedziawszy się o przygodzie Kasi, dorzucała go po garstce, bo rozumiała dobrze, jaką to stratę miałyby Kasia i jej matka, gdyby im lnu choćby tylko rok jeden zabrakło.

Stasia jednak i Ludwisia powróciły smutne do domu. One miały pieniądze; każda z nich byłaby chętnie parę rubli dała, żeby tylko Kasi szkodę wynagrodzić, a żadna z nich uczynić tego nie mogła.

Pieniądze ich nie mogły zastąpić tej szarej roślinki, której straty Stasia tak ocenić nie umiała. A kiedy wieczorem Kasia przybiegła, żeby im opowiedzieć o lnie odzyskanym i podziękować, że panienki o jej przygodzie na wsi opowiedziały, obiedwie siostry naprawdę były zawstydzone.

— Mój Boże! — mówiła Stasia — ja myślałam, że za pieniądze to wszystkiego dostać można, a tu nawet i ubogiego nie zawsze pieniędzmi się wspomóżę.

— I ja tak samo myślałam! — odrzekła jej Ludwinia — ale dzisiaj przekonałam się, że praca daleko więcej znaczy, aniżeli pieniądze. Każda oto z tych wieśniaczek, pracując skrzętnie, zebrała len tyle upragniony przez Kasię, a my?

I zamyśliła się.

— Ale wiesz co, Stasiu! — mówiła jej rozsądna Ludwinia — trzeba i nam się wziąć także do pracy. Wszak nam ojciec z pewnością nie poskąpi kawałka pola. Na przyszły więc rok zasiejemy lnu i same dopilnujemy opiekania, zebrania i obrobienia, a żeby w razie potrzeby, nitką lub płótnem biedzie zaradzić.

— Och, to jeszcze rok cały trzeba czekać! a tymczasem każda wieśniaczka, co nie umie nawet czytać i pisać, będzie mogła więcej od nas dobrego uczynić — odrzekła Stasia, która w dobrych uczynkach nie chciała się nikomu dać wyprzedzić.

— Ja też i na to obmyśliłam lekarstwo — mówiła poważnie Ludwinia. — Widzę, że to daleko lepiej własną pracą, niż pieniędzmi wspomagać. Otóż teraz są już długie wieczory, będę więc zwoływała chłopców i dziewczęta wiejskie, będę ich uczyła czytać i wielu pożytecznych rzeczy, a przedewszystkiem wytłomaczę im, że to wielki grzech wpędzać cielęta na cudzą łąkę i taką robić szkodę, jaką oni dzisiaj Kasi zrobili.

— Ach, to wybornie! wybornie! — wołała ucieszona Stasia, całując siostrę. — Ale i mnie pozwolisz, aby ci w tej pracy dopomagać? Wszakże czytać już potrafię nauczyć.

— Z chęcią, moja droga! — odrzekła jej siostra. — Od dziś naukę zaczniemy, ażeby znów ktoś inny nas w tem nie uprzedził!

I obiedwie panienki pobiegły do rodziców opowiedzieć im myśl swoją.

Rodzice bardzo chętnie na to zezwolili, chwając córki, że własną pracą chcą dopomagać uboższym.

Ludwinia i Stasia już od lat kilku bardzo skrzętnie pracują nad dziećmi wiejskimi, ale też przyznać trzeba, że od tego czasu jak zaczęły uczyć, chłopcy wiejscy nie robią już szkody nikomu. Żadna Kasia nie płacze, że jej len poplątali i rozrzucili, nikt się na nich nie skarży, a wszyscy dziękują dobrym panienkom, które nie pieniędzmi, lecz pracą tyle dobrego zrobiły.

Obiedwie zaś siostry, ile razy pójdą w pole na wiosnę i spojrzą na drobne błękitne kwiatki lnu, lub też w jesieni zobaczą go namoczony w strudze, albo rozstawiony, ażeby wysechł, zawsze sobie przypominają, że to jego włókna szare dały im myśl rozpoczęcia tej pożytecznej pracy, która im taką sprawia radość.

XI.

Zeschke liście.

Jacusz był biednym sierotą. Nie miał jeszcze lat dziesięciu, kiedy mu umarł ojciec, a wkrótce potem i matka. Został więc sam na Bożym świecie, bo nawet nie miał i krewnych. Nie miał ani stryja, ani wuja, ani żadnej cioci, któraby się nim zaopiekowała.

W wiosce, w której mieszkał, wszyscy byli biedni i ciężką pracą na chleb zarabiali. Wioska ta leżała w górach, gdzie ziemia jest bardzo nieurodzajna, a każdy, pracując ciężko, może zaledwie siebie i własną wyżywić rodzinę.

Po śmierci rodziców, wziął do siebie Jacusz jeden gospodarz, który miał wprawdzie małą chatkę i kilka zagonów ziemi, ale miał także chorego, starego ojca i ośmioro drobnych dzieci do wyżywienia. Jacusz przebył rok przeszło u swego opiekuna, jak mógł dopomagał gospodarzowi przy pracy; sam jednak widział, że bez jego pomocy gospodarz i tak rolę obro-

bi, a gospodyni około chaty i skromnego do-
bytku ze starszemi dziećmi da sobie radę.

Kiedy więc jednego roku kartofle się nie urodziły, a w jesieni krowa padła, sam widział, iż niepodobna, żeby gospodarz dłużej mógł go żywić. Zapłakał więc Jacuś razem z innymi nad leżącą bez życia graniastą łochną, karmicielką całej rodziny, a potem przyszedł do gospodarza, uścisnął go za nogi i rzekł:

— Bóg wam zapłać za wasz chleb, ale teraz wy macie i tak dużo gąb do żywienia, to ja pójdę w świat. Pójdę tam daleko za górę, za las, może mnie kto przyjmie do służby.

Gospodarzowi przykro było puszczać w świat Jacusia, ale w chacie była bieda, a chłopiec miał już rok dwunasty, mógł więc znaleźć jaką pracę. Pochwalił więc Jacusia i pobłogosławił, a gospodyni, żegnając go ze łzami, dała mu na drogę ostatni kawałek owsianego chleba.

Idąc przez wieś, Jacuś żegnał się ze swoimi towarzyszami, a każda z gospodyń, widząc chłopca w świat idącego, błogosławiła po macierzyńsku, dając mu to placek owsiany, to sera krajanekę, ażeby chłopczyną przynajmniej przez czas jakiś głodu nie zaznał.

Gdy wyszedł za wioskę, żał mu się zrobiło tych wszystkich dobrych ludzi, których tam zostawił. Nie wrócił się jednak, lecz ukląkłszy pod krzyżem, co stał tam, gdzie się drogi rozchodziły, pomodlił się szczerze i poszedł prosto przed siebie.

Jacusz nigdy za wioskę na drogę za ten krzyż nie chodził; drogi szły na wszystkie strony, a on nie wiedział, w którą się udać. A tu naokoło, jak sięgnąć okiem, rozciągały się wzgórza gęstym bukowym i świerkowym pokryte lasem. Lecz ludzie opowiadali, że za tym lasem były wsie i duże miasta; szedł więc i on, aby sobie w jakim mieście poszukać pracy.

Minęło już południe. Jacusz odpocząwszy parę razy, szedł prosto lasem, a że to było w listopadzie, gdzie noc bardzo wczesnie przychodzi, słońko więc, zajrzawszy parę razy przez wysokie drzewa, schowało się nareszcie i zrobiła się noc zupełna.

A tu nietylko miasta, do którego Jacusz dążył, ale nawet najmniejszej chatki nigdzie nie było. Las tylko i las, gdzie okiem zwrócić.

Wreszcie i deszcz zaczął padać. Z początku tylko czasem padła mała kropelka, lecz wkrótce coraz gęściej te kropelki spadały. Jacusz stanął pod drzewem, bo i jakże miał iść dalej, kiedy nawet drogi nie było widać?

Schronił się więc pod wielkie rozłożyste drzewo, lecz ono go nie osłaniało, bo w listopadzie liście już z drzewa opadły.

Stać tak przecież przez noc całą nie można, umyślił więc położyć się pod tem samem drzewem, a owinąwszy się guńką, przespać do rana.

Najpierw jednak ukląkł i zaczął się modlić szczerze. Ukląkłszy, uczuł, że na ziemi tuż pod drzewem jest dużo zeschniętych liści, które wiatr nagromadził. Zaczął je więc jeszcze więcej ogarniać, i choć pociemku, usiał sobie z nich łoże i zasnął tak spokojnie, jak w chacie gospodarza.

Ciepło mu nawet było, bo wiatr napędził na nowy stos zeschniętych liści, które go tak dobrze okryły, jak niejednego pieszczoszka najmiejsza i najcieplejsza kołderka. Ani drobniutki deszczyk, ani chłód długiej listopadowej nocy nie rozbudził naszego Jacusia. Dopiero gdy słońko, przedarłszy się przez chmury, zająrzało przez огоłocone z liści drzewa, a ptaki świergotać poczęły, Jacuś odrzucił okrywające go liście i zerwał się na równe nogi. Przetarł oczy, przeżegnał się, a spojrzawszy około siebie, zrozumiał, gdzie się znajduje.

A tu wszyscy mieszkańcy lasu już dawno się obudzili. Wiewiórki, jedne skakały po drzewach, inne zbierały skrzętnie żołądźcie, lub resztki bukowego nasienia, kryjąc je do gniazdka w wypróchniałem drzewie. Ptaki, przechadzając się poważnie po zwilżonym mchu, spijały z niego rosę, lub czasami dziobnęły zeschniętą jagódkę. Niejeden skrzętniejszy ptaszek, wyszukawszy smaczniejsze nasionko lub tłustego robaczka, obciążony zdobyczą leciał do gniazdka, ażeby schować zapas na zimę.

I znowu coś gwałtowniej zaszeleściało... Jacuś się przeląkł... A to tylko zając pomknął i schował się w gęstwinę.

Była jednak chwila, że się Jacuś naprawdę przestraszył. Liście, z których wstał dopiero, zaszeleściały, z pomiędzy nich wymknął sliczny czerwono-złoty lis, a nie oglądając się, posunął dalej, podrzucił łbem drugi stos liści opodal leżący i skrył się prędyutko. Snadź jamę miał tam swoją, do której łatwo trafiał, choć liśćmi była zarzucona.

Jacuś z wielkiem zdziwieniem wszystkiemu się przypatrywał. Zwierzęta i ptaszki, krzątając się wesoło, nie zważały na niego; żyły sobie swobodnie, bo Bóg dobry nad nimi rozciągnął opiekę. Lecz choć w lesie było pięknie, pozostać w nim jednakże Jacuś nie myślał.

— Las Pan Bóg dał na mieszkanie ptakom i zwierzętom, a człowiek, co ma rozum, to powinien gdzieindziej mieszkania poszukać — pomysłał sobie Jacuś. — Oho, Bóg dobry i mnie sieroteńki nie opuści! — dodał chłopiec, i poprawiwszy na sobie guńkę i torbę, w której miał żywność, w dalszą puścił się drogę.

Idąc, śpiewał pieśń poranną, z początku półgłosem, potem coraz głośniej, a wyrazy pieśni rozlegały się po lesie. Po chwili zdawało mu się, że usłyszał jakiś jęk w oddali i jakby głos, wzywający pomocy. Przerwał więc śpiewanie, stanął i nasłuchiwał, lecz wołania nie słyszał.

— Ech, to mi się tylko zdawało! — rzekł chłopiec i dalej śpiewał:

„A człowiek, który bez miary
Obsypany Twymi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
Jakżeby Ciebie nie chwalił!...“

I znów najwyraźniej dał się słyszeć płacz i wołanie: „Pomocy! pomocy!“

Jacuś stanął i słuchał, i nareszcie przysłuchawszy się dobrze, skierował się w stronę, skąd głos go dochodził.

O kilkadziesiąt kroków od drogi, pod drzewem leżał chłopiec, niewiele co większy od Jacusia. But miał ściągnięty, majtki zawinięte do kolan, z nogi krew mu płynęła, a obok leżała dubeltówka.

Chłopiec, ujrawszy zbliżającego się Jacusia, jeszcze więcej zaczął jęczeć, wołając:

— Oj, oj, zlituj się, pomóż mi!

Jacuś, który przez cały wczorajszy dzień nikogo nie spotkał, w pierwszej chwili ucieszył się, ujrawszy chłopca, niewiele co starszego od siebie, zobaczywszy jednak zranioną i okrwawioną nogę, z przestraczem zapytał:

— Och! a to co? czy to cię jaki rozbójnik skaleczył?

— E, nie rozbójnik — rzekł chłopiec, podnosząc głowę — tylko oto ta szkaradna dubeltówka.

— Juści... dubeltówka sama przecie do ciebie nie przysła, ino ktoś was musiał ugodzić; — rzekł Jacuś — ale i co ta, trzeba ci pewnie pomódz.

— Oj, boli! boli! — wołał chłopiec, odwracając oczy od skrwawionej nogi.

— No, to trzeba pomódz! — mówił Jacuś.

I wzięwszy wilgotnego mchu i liści, zaczął obmywać i wycierać skrwawioną nogę. Obmywszy, wyjął z torby kawałek chleba, zżuł ośrodek, obłożył nim ranę, przykrył liściem i łyżkiem owiązał. Skaleczony chłopiec, nie już nie mówiąc, przypatrywał się tylko jego staraniom.

— Och, teraz mi lepiej! — rzekł po chwili, opierając głowę o ramię Jacusia.

— No, to posiedź trochę — rzekł Jacuś, przytulając go troskliwie.

— Kiedy jabym chciał, żebyś ty mnie do domu odprowadził.

— A gdzież to twój dom?—zapytał Jacuś.

— A w mieście — odrzekł skaleczony.

— No, to jak ci będzie lepiej, to pójdziemy razem! — rzekł Jacuś. — Tylko ty mi pokażesz drogę — dodał.

— Ha! kiedy ja zbłądziłem...

— Ba, to i ja nie wiem, bo ja idę ot tam z za lasa i chcę się dostać do miasta, a nie wiem drogi! — odrzekł mu Jacuś.

— Och, mój Boże! mój Boże! co też to teraz będzie! — biadał chłopiec.

— Bóg miłosierny nas nie opuści! — pocieszał go Jacuś. — Odpocznij teraz, to potem we dwóch łatwiej nam jakoś będzie.

— Tak mi się jeść chce! — mówił skaleczony.

— No, to poczekaj, i temu zaradzimy!

I to mówiąc, poczciwy Jacuś wyjął z torbki kawałek chleba i sera, przełamał go i połowę dał nieznanemu.

Chłopiec wziął chleb, obejrzał go i rzekł:

— Ach, taki twardy i czarny! ja nigdy takiego nie jadłem.

Gryzł go jednakże, bo naprawdę był głodny.

— Och, co to, to nieprawda! chleb bardzo dobry! — rzekł Jacuś, zjadając ze smakiem.

Chłopiec spojrział na Jacusia ze zdziwieniem, ale już mu nic nie odpowiedział, tylko płakać zaczął.

Po chwili dopiero opowiedział, że wczoraj zaraz po południu wziął fuzę i wyszedł na polowanie. Lecz z brzegu lasu nie spotkał ani jednego zająca, szedł więc w las coraz głębiej, aż nareszcie zupełnie zeszedł z drogi, a zająca nie spotkał. Nareszcie deszcz coraz gęściej padać zaczął, zrobiło się ciemno, i biedny chłopiec, nie mogąc trafić do drogi, musiał noc całą w lesie przepędzić.

Lecz nie był on tak przezorny, jak nasz Jacuś. Nie usłał sobie łoża z liści, lecz oparłszy dubeltówkę zamkiem do góry, sam usiadł, płacząc i narzekając.

— Po chwili snadź zdrzemnąłem się — mówił chłopiec — i musiałem oprzeć się na cynglu, bo naraz huknęło, dubeltówka wystrzeliła, i oto skaleczyła mi nogę.

— Oj, miał ojciec słuszność, że nie pozwalał mi brać dubeltówki! — dodał płacząc.

— No, bo i prawda! — rzekł Jacuś — że kiedy kto strzelać nie umie, to fuzyi brać nie powinien, a tu nawet ta fuzya większa od ciebie — dodał, przypatrując się broni.

— Ach, Boże! Boże! co ja teraz pocznę nieszczęśliwy! — biadał skaleczony, oglądając nogę. — Ani wiem, którądy wracać!

— Ech, Pan Bóg miłosierny, ześle nam jaką pomoc! — mówił znów Jacuś; — niech cię ino noga boleć przestanie, to będziemy szli i szli, aż spotkamy kogo, co nas do miasta zaprowadzi.

Gdy tak rozmawiali, zdaleka dało się słyszeć łamanie gałęzi i stąpanie koni i ludzi.

— Hop! hop! — krzyknął odważny Jacuś, a skaleczony chłopiec, podniósłszy się trochę i oparłszy na zdrowej nodze, ze drzeniem czekał, co dalej będzie.

— Ho! ho! — odkrzyknęły głosy z głębi lasu.

— Tutaj, tutaj na pomoc! — wołał Jacuś, wiedząc, że ktokolwiek nadchodził, powinien bliźniemu przyjść z pomocą.

Jeszcze kilka razy dało się słyszeć wołanie, aż nareszcie z gęstwiny ukazał się jakiś człowiek, który z niespokojnością spojrział dokoła.

— Ojczy mój kochany! — krzyknął skaleczony, wyciągając ręce.

— Kaziu mój drogi, co się z tobą stało! — zawołał przybyły, przykląkwszy przy nieszczęśliwym chłopczyku.

Kazio opowiedział ojcu wszystko z pokorą, przeprasząc za nieposłuszeństwo i wyjście z domu bez pozwolenia.

— Ale to wszyscy mówią — dodał — że w listopadzie tak dużo zwierzyny, i że tak łatwo zabić zająca — dodał, całując ojca w rękę. — Chciałem i ja szczęścia spróbować.

— Tak i o małość tego życiem nie przypłacił — przerwał mu ojciec — a mnie i matkę nabawiłeś takiego przestרחu.

— Wczoraj dzień cały szukano cię po miasteczku — mówił dalej ojciec — bo nikt nie przypuszczał, żebyś się dalej iść ośmielił; dopiero gdy spostrzegłem, że dubeltówki niema w moim pokoju, domyśliłem się wszystkiego.

— Dzięki Niebu, że przynajmniej żywym cię znajduje! Ale któż to jest ten chłopiec, co ci dał pomoc? — zapytał ojciec, spoglądając na

Jacusia, który oparłszy się o drzewo, przypartywał powitaniu Kazia z ojcem.

Kazio nie mógł na to pytanie odpowiedzieć, bo sam nie wiedział, skąd się wziął ten dobry chłopczyk, który tak troskliwie nim się opiekował. Jacuś więc wyręczył go, a zbliżywszy się, zdjął swój góralski podarty kapełusz i rzekł:

— Ja jestem Jacuś, ot tam z tej wioski, co daleko za nami została. Nie mam ani ojca, ani matki, u gospodarza zabrakło chleba, więc idę do miasta poszukać pracy.

Ojciec Kazia spojrział na poczciwego Jacusia i rzekł:

— Dobry znać z ciebie chłopiec, kiedy pracę swą rozpoczynasz niesieniem pomocy zbłąkanemu i skaleczonemu. Pan Bóg ci z pewnością pobłogosławi.

Jacuś, widząc, że Kazio ma opiekę, zapytawszy o drogę do miasta, chciał odejść; lecz ojciec Kazia zatrzymał go, mówiąc, że razem z nimi pojedzie.

Wkrótce też ojciec wziął skaleczonego Kazia pod rękę i przy pomocy Jacusia przeprowadził go do najbliższej drogi, gdzie czekała bryczka, którą ojciec do lasu przyjechał. Kazio, uszczęśliwiony, że znowu znalazł się u kochanych rodziców, zaraz po powrocie przeprosił i przyrzekł poprawę, a zarazem prosił, żeby Jacuś mógł na zawsze u nich pozostać. Ro-

dzice chętnie się na to zgodzili, bo sami mieli wdzięczność dla dobrego chłopca.

Jacusz, przybywszy do miasta, z niemałym zdziwieniem przypatrywał się wszystkiemu, i jakiś go strach ogarnął na widok tylu wysokich domów i tylu nieznanym ludzi. Ze łzami więc w oczach podziękował rodzicom Kazia, że go chcą przyjąć do siebie i zaraz prosił, żeby mu wskazano co ma robić, bo nie chciał jeść darmo chleba. Ojciec Kazia miał duży sklep winny, łatwo więc dla Jacusia znalazła się robota. To sklep zamiatał, to butelki mył i wynosił, to posłużył; słowem, zawsze był bardzo czynny.

W wolnych zaś chwilach, Kazio uczył go czytać, pisać i rachunków, a że Jacusz był bardzo pojętny, wkrótce doskonale się wielu bardzo pożytecznych rzeczy wyuczył. Że zaś prócz tego Jacusz był bardzo rzetelny i z każdego grosza umiał się wyrachować, zyskał sobie zaufanie ojca Kazia. Po paru latach pobytu w sklepie, stał mu się prawdziwą pomocą, zarabiając przytem uczciwie na swoje utrzymanie. Ma on już porządne ubranie i dostatnie jedzenie, na pamiątkę jednakże zachował swoją guńkę góralską i torbę, a w niej kawałek czarnego chleba, ażeby nie zapomniał o chacie w górach i poczciwych gospodarzach, którzy go tym chlebem darzyli.

Lecz i Kazio był dobrym chłopcem.

Zachował on szczerą wdzięczność i przyjaźń dla poczciwego Jacusia, kocha go bardzo, a gdy teraz już jako dorośli młodzieńcy wyjdą czasami w jesieni razem na polowanie, to sobie zawsze przypominają przygodę w lesie. Na zeschnięte zaś liście, które takie niemiłe zwykle robią wrażenie, Jacuś i Kazio z przyjemnością spoglądają.

— Oj, gdyby nie te liście, czembyś ty był utamował krew i owiązał ranę! — wspominał Kazio.

— To prawda! — odpowiadał Jacuś: — one ci ranę obmyły, ale i mnie niemałą oddały przysługę. Gdyby nie stos zeschniętych liści, byłbym może przeziębł i umarł owej długiej, chłodnej i dżdżystej nocy listopadowej. Już to Pan Bóg miłosierny! — dodawał zwykle Jacuś, — to tak wszystko rozumnie urządził, że każdy miesiąc przynosi nam wielkie dary i daje dowód, jak Wszechmocna Ręka zawsze czuwa nad nami.

XII.

Kołęda.

Wojtuś mieszkał z matką w maleńkim domku na przedmieściu. Matka jego była wdową i szyciem zarabiała na kawałek chleba. Mimo to jednak w maleńkiej izdebce było czystiutko, a Wojtuś, chociaż w połatanem odzieniu i dziurawych bucikach, chodził jednakże do szkoły.

Gdy odchodził, matka zawsze dawała mu wykończoną robotę, a Wojtuś, wracając, przynosił pieniądze, kupował po drodze żywność i przynosił nową robotę.

Ciężkie to było życie tego Wojtusia i jego matki, bo biedna kobieta umiała szyć tylko grubszą bieliznę i odzienie, co jej niewielki przynosiło zarobek; niczem zaś innem zapracować nie mogła, bo biedaczka ciągle kaszlała i nogi miała spuchnięte.

Wojtuś bardzo kochał matkę i radby jej był dopomódz, ale cóż? miał rok dziesiąty: jeszcze pracować nie umiał. Tylko tem jej dopomagał,

że starał się jak najmniej drzeć odzienia, przynosił wodę, zamiatał izdebkę i ogień rozpalał.

Prócz tego uczył się dobrze, słuchał przestroóg matki i obiecywał sobie, że jak tylko skończy lat dziesięć, zaraz pójdzie na naukę do jakiego porządnego rzemieślnika.

— No, a potem, gdy się wyuczę jakiego rzemiosła — mówił chłopiec — to już i matce i mnie będzie dobrze.

Lecz na to trzeba jeszcze było długo czekać, a tymczasem po słotnym listopadzie nastąpił zimny i wietrzny grudzień, dokuczając coraz więcej biednej wdowie i jej synowi.

Matka pracowała, a Wojtuś krzątał się jak mógł, lecz często w izdebce było zimno, a kilka kawałków drzewa lub węgla, przy których biedna wdowa gotowała jedzenie, nie ogrzewało dostatecznie ubogiego mieszkania.

Jednego długiego wieczoru, Wojtuś zziębłymi palcami ledwo mógł kreślić na tabliczce litery i cyfry, a matka zaledwie igłę mogła utrzymać.

— Jutro pewnie przyniosę pieniądze za ten kaftan — mówił Wojtuś, patrząc na matkę, składającą ukończoną robotę.

— Och, ale jak im ciepło będzie w takiej grubej wacie! — rzekł chłopiec, dotykając z przyjemnością miękkiego odzienia.

— Pewnie, że ciepło — rzekła matka, wzdy-

chając. — Oj, uszyłabym ja taki i tobie, gdybym tylko mogła więcej zarobić...

— A to mi na co! I ten, który mam, jeszcze bardzo dobry. A gdy go zapnę i biegnę prędko, to mi w nim bardzo ciepło.

I to mówiąc, chłopiec usiłował jak najszczelniej zapiąć ciasny i połatany surducik.

Nazajutrz dobry Wojtuś jak zwykle rano poszedł do miasteczka na cały dzień do szkoły. Lecz niestety, nie wziął z sobą pożywienia, jak zwykle. Wprawdzie został im od śniadania kawałek chleba, który matka koniecznie chciała dać Wojtusowi, lecz chłopiec podziękował jej, mówiąc:

— Ja sobie, moja matusiu, łatwiej poradzę, bo przecież mam dostać pieniądze za ten kaftan, który odnoszę, to sobie kupię jedzenia i do domu przyniosę wszystkiego co potrzeba.

I pobiegł do szkoły.

Zimno było i wietrzno, jak zwykle w grudniu; zasypany śniegiem leżały po obu stronach drogi, którą Wojtuś przechodził; czasami wiatr mroźny zadał silniej i rzucił chłopcu śniegiem w oczy, ale on na to nie zważał.

Śnieg posypał się, słońko wyjrzało na chwilę, chłopiec raźniej podskoczył, zobaczywszy dobroczynne światło, a chociaż słońko to nie ogrzało dostatecznie Wojtusia, uśmiechnął się jednakże do niego i biegł coraz szybciej.

W miasteczku najpierw poszedł oddać ów uszyty kaftan.

Cieszył się już zawczasu, że dostanie za niego pieniądze, a prócz tego jeszcze za dawniejszą robotę. Długo jednakże pukał do drzwi, nim mu je otworzono; wkońcu wyszła dziewczyna, mówiąc, że gospodyni wyjechała i powróci dopiero przed samemi świętami Bożego Narodzenia.

Zmartwił się biedny Wojtuś, i aż łyzy mu w oczach stanęły.

Do Bożego Narodzenia jeszcze był tydzień cały... co tu robić?

Wprawdzie matka miała robotę, ale nim ją wykończy, za co się wyżywią i ogrzeją? — myślał sobie Wojtuś, i skłopotany poszedł do szkoły.

Podczas pauzy, inne dzieci biegały, bawiąc się w śnieżki na szkolnem podwórku, lub też ślizgały się na zamarzłej wodzie około studni. Wojtuś tak zwykle wesoły, dziś wcale nie był ochoczy do zabawy. Bo i jak się tu było bawić, kiedy mu już i głód zaczął dokuczać!

Po skończonej nauce, dzieci wybiegły wesoło. Już było około drugiej po południu; każdy chłopiec biegł do domu, gdzie go czekało pożywienie i ciepły kącik w izdebce, tylko Wojtuś wracał ze smutnie zwieszoną głową; bo nietylko, że nie znajdzie w domu ani ognia, ani pożywienia, ale prócz tego zmartwi jeszcze matkę, nie przynosząc oczekiwanej zapłaty. A tu ludzi jak nabił w miasteczku: gwar, śmiech,

wesołość, boć to za tydzień wigilia Bożego Narodzenia, święto takie uroczyste...

Cieszą się więc wszyscy, a najwięcej dzieci, bo rodzice, chcąc im ten dzień upamiętnić, obsypują rozmaitymi podarkami i przysmakami.

Wtedy to dzieci bogatsze chętnie dzielą się z biednymi otrzymanymi przysmakami i podarkami, aby dać dowód, że chcą naśladować Jezusa, który bardzo miłując ludzi, nakazał, ażeby ludzie wzajemnie się kochali.

Każdy się więc cieszył owem świętem zawczasu.

W sklepach widać było rozmaite ubrania i zabawki, na rynku kupcy przyjezdni ustawili stoły, a na nich poukładali stopy pierników, orzechów i świętojańskiego chleba.

Tam znów leżały smakowite strucle, posypane makiem i czarnuszką; przekupka zachwalała śliczne czerwone jabłuszka, skrzętnie je chowając w okrytym koszyku, żeby nie przemarzły. Kupiec wołał, że ma ładne czapki, ciepłe odzienie i chustki kraciaste dla kobiet; tamten znów pokazywał buty z wysokimi cholewami, przez które ani mróz, ani śnieg już się nie przedostanie. Słowem, w miasteczku wszystkiego dostać było można, czego kto zapragnął, tylko biedny Wojtuś nie mógł dostać owych zapracowanych pieniędzy, które miały i jego i matkę od głodu i zimna ochronić.



...podniósł niewielką paczkę, starannie sznurkiem owiązaną.

BLYTEKA
BIBLIOTEKI
M. J. PIŁSUDSKIEGO
WARSZAWA

Wracał więc smutno do domu. Podniósł czasami oczy na nęcące go przysmaki i ciepłe ubranie, stanął, popatrzał, oczy mu zabłyśły, bo i on chciałby mieć na kolędę coś z tych pięknych rzeczy. Uśmiechnął się na tę myśl, a potem westchnął.

On nigdy jeszcze nie miał kolędy.

Spojrzał raz jeszcze i dalej przez tłum się przeciskał.

Naraz tyle się zebrało ludzi i tyle wozów stanęło wpoprzek ulicy, że Wojtuś żadnym sposobem przecisnąć się nie mógł. Krzyczano, popychano się nawzajem, a wśród tego tłoku popchnięto także i Wojtusia tak gwałtownie, że aż upadł w śnieg, którego wszędzie było niemało.

Chłopiec zważo się podniósł, lecz podnosząc się, spostrzegł niewielką paczkę zmiętą, obłożoną, prawie bez papieru, starannie sznurkiem owiazaną. Spojrzał dokoła, zaczął wołać, że znalazł paczkę, lecz ludzie zajęci swojemi sprawami, niewiele na malca zważali, a nawet ktoś go ofuknął:

— Jaki delikacik! że się przewrócił, to już krzyczy i woła, jakby się wielkie rzeczy stały.

A inny dodał:

— Podniosłeś się, to idź w swoją stronę, a ludziom nie przeszkadzaj swoim krzykiem!

Wojtuś, widząc, że napróżno szuka właściciela paczki, wziął ją, i tak jak mu radzono,

poszedł w swoją drogę. Wydostawszy się z tłumu, chciał ową paczkę schować do kieszeni, lecz była tak zabłocona, że najpierw musiał z wierzchu zedrzeć powalany papier.

Jakież było jego zdziwienie, gdy zaledwie zdarł trochę papieru, ukazał się pakiet zwiniętych pieniędzy!

Ponieważ już się ściemniało, Wojtuś myślał, że się omylił, że to może tylko papier taki szary. Ale gdzie tam! nie mylił się wcale: była to paczka pieniędzy zwiniętych razem. Aż gorąco mu się zrobiło na widok tyłu pieniędzy.

— Toż to matusia się ucieszy! jaką będziemy mieli wspañałą wieszczę! I kolędę mieć będę pierwszy raz w życiu! — myślał sobie Wojtuś.

I w przystępie radości zamiast iść ku domowi, wrócił się do miasteczka, chcąc zaraz kupić cokolwiek z tych śliczności, które tam widział.

Z radości już mu się i jeść odechciało, ale za to zdawało mu się, że już owe buty z wysokimi cholewami ma na nogach.

— Och, i matce kupię ciepłą chustkę, taką jak tam wisiała!

I zaczął iść prędzej z powrotem do miasta, ściskając w zziębłej ręce paczkę z pieniędzmi.

Nagle stanął.

— A czy to moje te pieniądze? — zapytał sam siebie.

— Ależ ja je znalazłem! — pomyślał Wojtuś i otrząsnąwszy się, szedł znowu ku miastu.

— Ale matka mi mówiła, że rzecz zalezioną trzeba oddać temu, kto ją zgubił — przyszło znów na myśl Wojtusiewi, i zaczął iść wolniej.

— Tak, ale komuż ja oddam, kiedy nie wiem, kto zgubił! — pomyślał Wojtuś i znowu szedł prędzej.

— Ale matka mówiła — rozważał dalej chłopiec — że gdy kto weźmie sobie rzecz zalezioną, to jest złodziejem... Co? ja miałbym być złodziejem! — wstrząsnął się na ten wyraz Wojtuś i nie namyślając się już dłużej, zawrócił do domu.

I znów spuścił głowę i szedł smutno, tylko w ręku ścisnął owe znalezione pieniądze.

Uszedł już kilkanaście kroków, gdy mu głód nanowo zaczął dokuczać. Zimno go przejęło, wiatr świsnął gwałtowniej, ubranie, zmoczone śniegiem, zupełnie na nim zeszywniało i zmarzło, a biedny Wojtuś drżał cały jak w febrze. Czuł w ręku owe nieszczęśliwe pieniądze, a nie mógł za nie nic kupić. Biegł coraz prędzej, wiatr na wszystkie strony pomiatał biednym chłopcem, i sam nie wiedział co się z nim działo.

I znowu stanął.

— Choćbym wziął jeden papierek i kupił trochę chleba i węgla? — pomyślał: — tych papierków tak dużo! nawetby nikt nie poznał.

— Oj, nie, nie nie chcę! niech mię Bóg od tego uchwala! — rzekł poczciwy chłopiec i przegnął się, chcąc oddalić od siebie myśl ową.

— Oddam to matce, ona mi poradzi — pomyślał.

I z silnem postanowieniem wepchnął cały pakiet pieniędzy do ciasnej kieszeni ubrania, biegł co tchu, przytrzymując kieszeń, jakby się bał, żeby pieniądze nie wyjrzały z ukrycia i nie skusiły go do kupna choćby chleba i węgla. A tymczasem noc już zupełnie zapadła. Na pogodne niebo zaczęły się wychylać jedna po drugiej jasne gwiazdy, aż wkońcu taka ich niezliczona ilość zabłysła, że aż naszemu Wojtusiowi weselej się zrobiło, a droga wązka, którą szedł śpiesznie, zdawała mu się tak piękna i szeroka, jakby najwspanialszy gościniec.

I oto dobiegł już dworku, w którym go matka czekała.

— Mój Boże, światła niema, pewno i nafty zabrakło! — pomyślał chłopczyzna, spojrzawszy w małe okienko, i drzwi śpiesznie otworzył.

— Matusiu, matusiu! — zawołał od progu.

Długie westchnienie, jakby jęk, odpowiedziało od strony, gdzie stało łóżko matki.

Wojtuś pobiegł ku niej, zapominając o wszystkim, co go w dzisiejszym dniu spotkało.

— Matusiu, matusiu! — wołał, biorąc rozpaloną rękę matki.

Biedna kobieta przygarnęła Wojtusia, usiłowała coś mówić, lecz tak niewyraźnie, że Wojtuś zrozumieć jej nie mógł.

— Och, moja matusiu! moja matusiu! — wołał chłopiec, całując rękę matki ze łzami.

A widząc, że wołania jego na nic się nie zdadzą, pochwycił czapkę i wybiegł śpiesznie.

W miasteczku był lekarz, który chętnie wszystkich biednych ratował w chorobie. Do niego to pobiegł Wojtuś z prośbą o pomoc, i wkrótce też zacny ten człowiek zjawił się w izdebce na przedmieściu.

Wojtuś zapalił małą lampkę, lekarz obejrzał chorą, pokiwał głową i rzekł:

— Mój chłopczyku, matka jest bardzo chora; trzeba ją zabrać do szpitala. Ja tu przyślę po nią dziś jeszcze.

I pogładziwszy Wojtusia po zziębłej twarzy, wyszedł na ulicę.

Wojtuś, dowiedziawszy się, że matka tak bardzo chora, w głos się rozplakał, a chcąc wyjąć chustkę do otarcia oczu, poczuł w kieszeni owe pieniądze, o których zapomniał, ujrawszy matkę chorą.

Pieniądze te paliły go, chciał się ich pozbyć; wybiegł więc za lekarzem, wołając:

— Panie doktorze! panie doktorze!

Doktor, usłyszawszy wołanie, stanął, czekając, co mu Wojtuś powie.

— Panie doktorze! — mówił zadyszany chłopczyna, trzymając w rękę znaleziony pakiet pieniędzy. — Znalazłem dzisiaj w miasteczku te oto pieniądze i nie wiem co mam z nimi zrobić!

Lekarz zdziwionemi oczyma spojrzął na chłopca.

— Kiedy? o której porze?

Wojtuś opowiedział wszystko, jak było.

— I nic nie wzięłeś dla siebie? — zapytał.

— Jakże miałem wziąć cokolwiek, kiedy to nie moje!

— Poczciwy jesteś chłopiec! — rzekł doktor. — Bóg cię z pewnością nie opuści. Znam jednego pana, który dziś zgubił ogromną sumę pieniędzy; o ile mi się zdaje, będzie to ten sam pakiet. Pozostań przy matce, niezadługo tutaj wrócimy, ażeby ją w wygodniejsze przenieść miejsce. Pieniądze zaś schowaj, i nic o nich nie mów nikomu aż do naszego powrotu.

I znowu Wojtuś został z owymi pieniędzmi. Lecz teraz był już spokojny, wrócił do izdebki, stanął przy chorej matce, która po danem przez doktora lekarstwie zasnęła z nawpół przymkniętymi oczyma. Popatrząwszy tak na nią przez chwilę, zgarnął resztkę węgla i podpalił w piecu. Wtedy uczuł znowu głód, lecz w izdebce, niestety! nie było chleba. Dotknął

pieniędzy, napowrót wcisnął je do kieszeni, westchnął i usiadł przy łóżku matki.

A tymczasem palące się węgle ogrzały izdebkę. Wojtuś, znużony głodem i zimnem, oparł głowę o łóżko chorej i zasnął spokojnie. Wtedy śniły mu się owe stopy strucli i pierników, i chustka dla matki czerwona, i buty długie, i czapka z barankiem, a co największa: matka wesół i zdrowa. Naraz wszystko znikło, tylko zdało mu się, że jakiś pan stał przy nim, uśmiechając się przyjemnie.

Wojtuś uczuł, że go ktoś wziął za rękę. Podniósł głowę, otworzył oczy i ujrzał przed sobą lekarza i drugiego jakiegoś pana.

Był to właściciel znalezionych przez Wojtusia pieniędzy.

Chłopiec znów opowiedział, gdzie i kiedy je znalazł, a właściciel, odbierając pakiet, pochwalił uczciwość Wojtusia i powiedział, że go Wojtuś i całą jego rodzinę uratował od nędzy, bo to była duża bardzo suma, stanowiąca cały jego majątek.

— Od tej więc chwili, chłopcze mój kochany! — rzekł ów pan do Wojtusia — i ty należysz do mojej rodziny i ani tobie, ani twojej matce na niczem zbywać nie będzie.

I rzeczywiście zakrzątano się, żeby chorej matce jak najlepsze dać wygody, i nie zabierając do szpitala, jak najprędzej przywrócić zdrowie.

Przedewszystkiem zaś dano jeść pocziwemu Wojtusiowi, który w końcu się przyznał, że od rana nic nie jadł.

W tydzień potem było owo wielkie święto: wigilia Bożego Narodzenia.

Wojtuś naprawdę nie wie, czy mu się śni, czy też rzeczywiście widzi to wszystko, co go otacza.

W czyściutkim bowiem pokoiku siedziała matka, przychodząca do zdrowia, na stole leżało ładne ciepłe odzienie dla Wojtusia i czapka barankowa, przy stole stały owe buty z wysokimi cholewami, a nad tem leżała kartka z napisem:

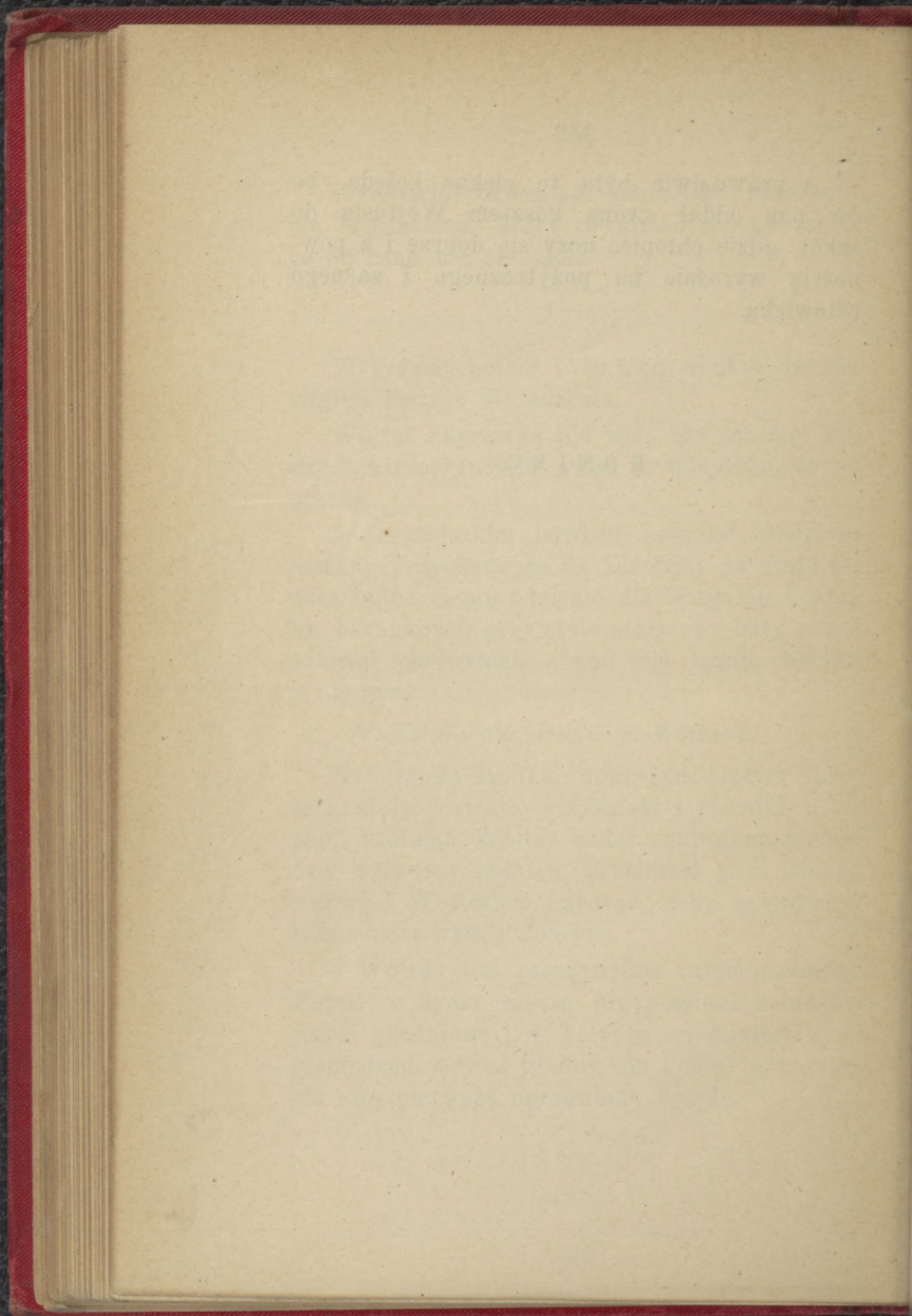
Kolęda dla uczciwego Wojtusia.

Na drugim stoliku, nakrytym białym obrusem, stały rozmaite przysmaki i pierniki, a ów pan, któremu Wojtuś oddał znalezione pieniądze, wzięwszy opłatek, przełamał go z biedną wdową i Wojtusiem, życząc, żeby zawsze był takim uczciwym i dobrym.

I Wojtuś też rzeczywiście takim pozostał. Potem w życiu często przypominał sobie ów dzień grudniowy, w którym ze znalezionymi pieniędzmi wracał głodny do domu, a nareszcie ową pierwszą upragnioną kolędę.

A prawdziwie była to piękna kolęda, bo ów pan oddał swoim kosztem Wojtusia do szkół, gdzie chłopiec uczy się dobrze i z pewnością wyrośnie na pożytecznego i zanego człowieka.

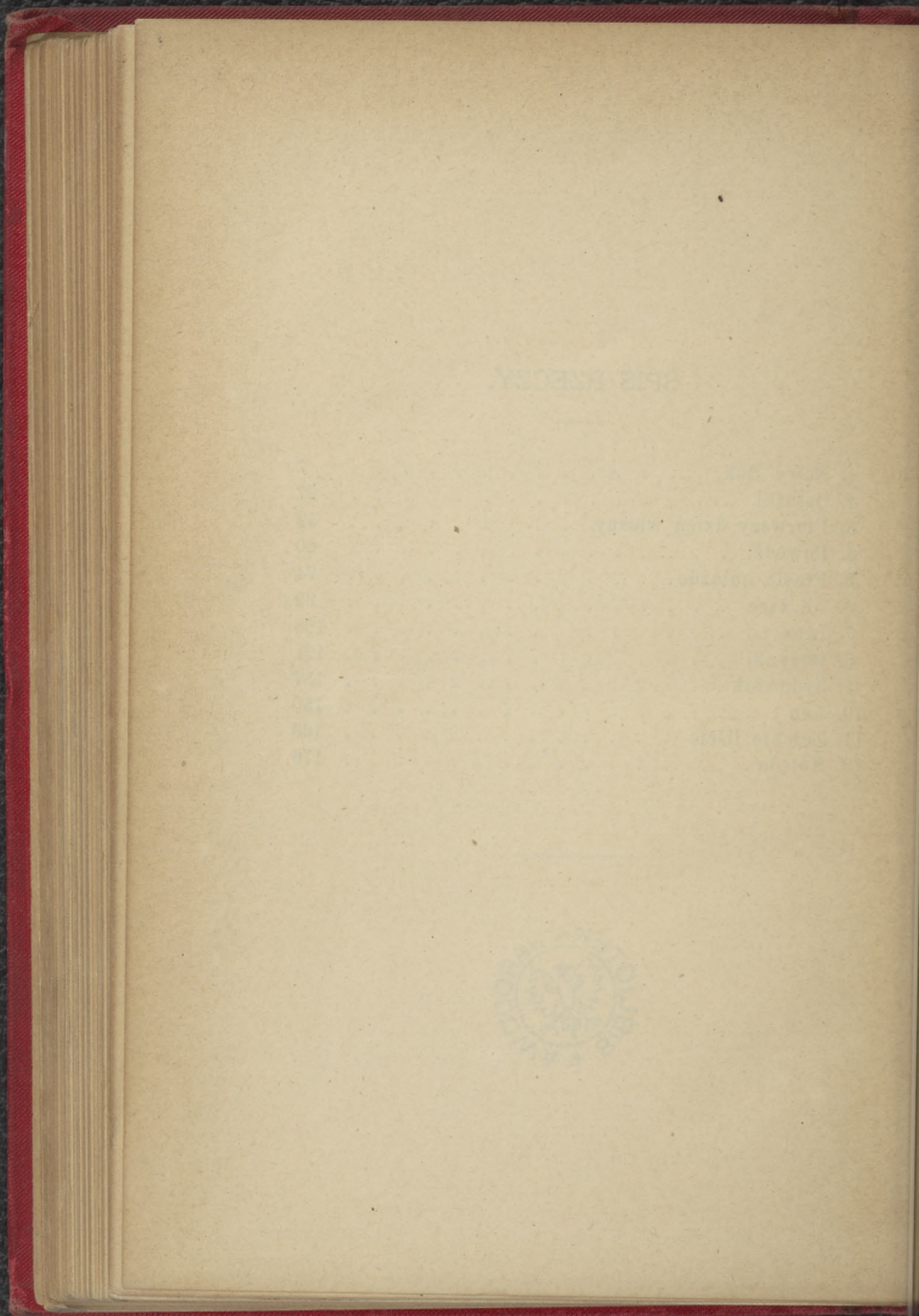
K O N I E C.

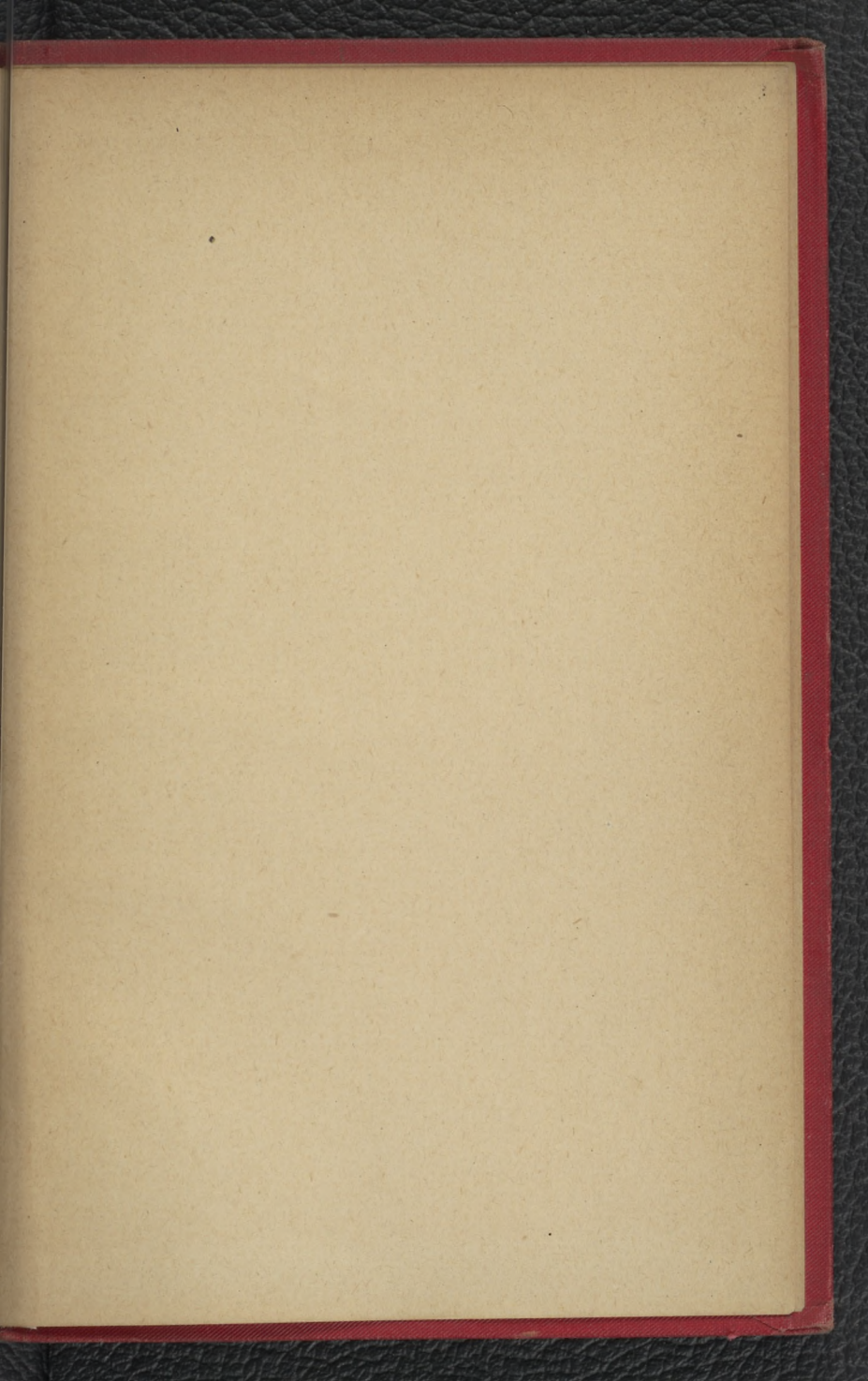


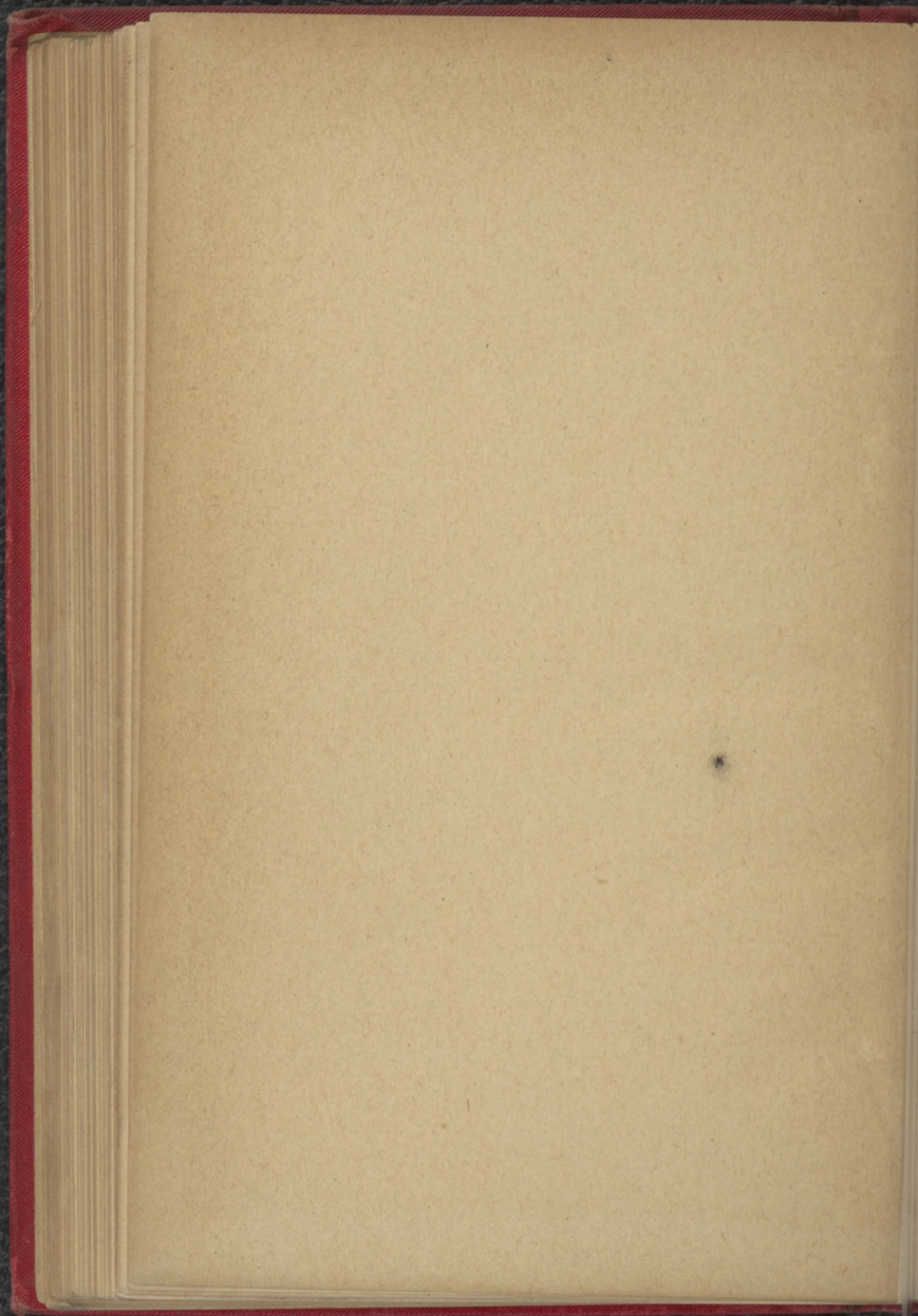
SPIS RZECZY.

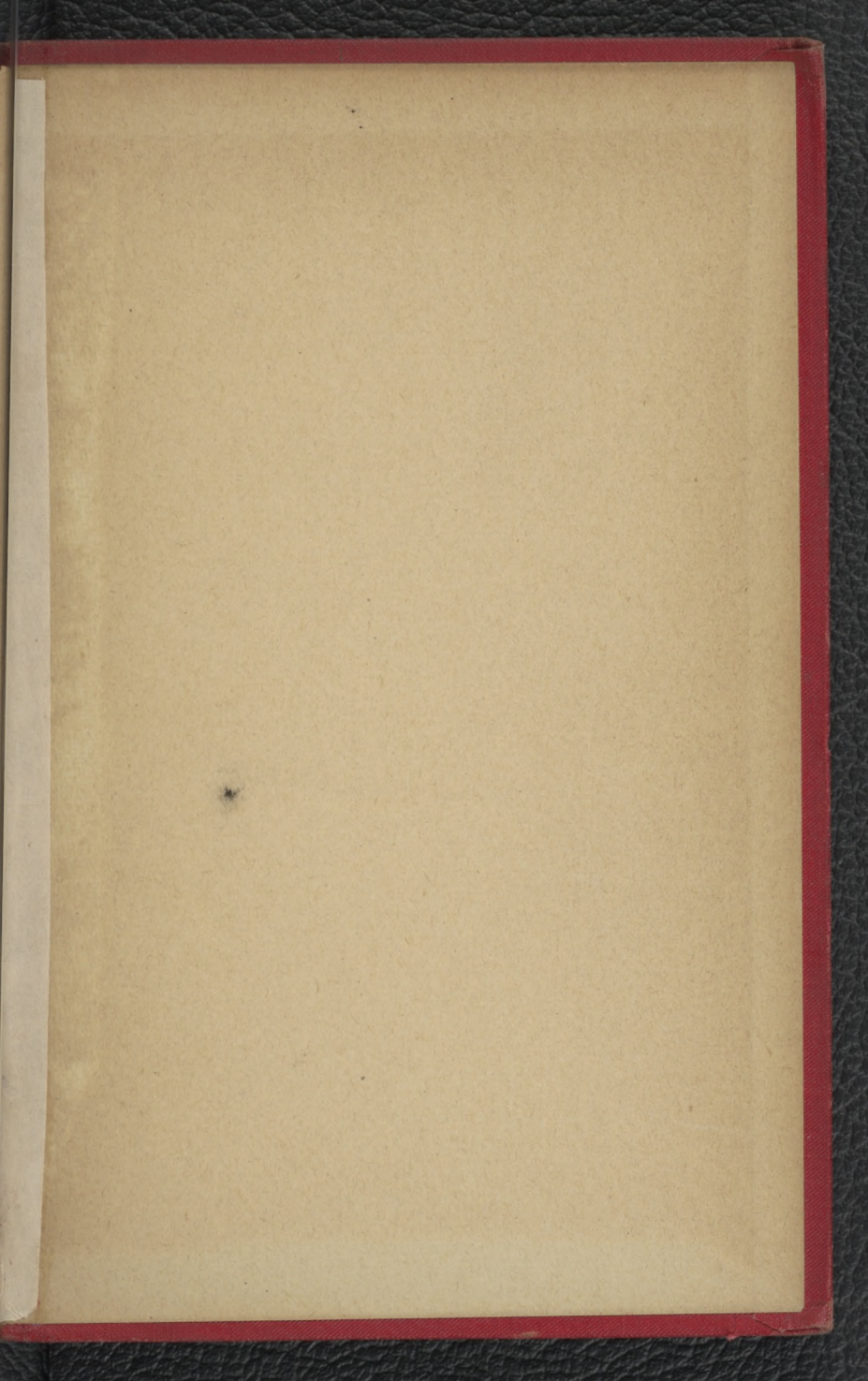
1. Nowy Rok	7
2. Ostatki.	27
3. Pierwszy dzień wiosny.	42
4. Powódź.	60
5. Ptasie gniazdo.	74
6. Na łące	92
7. Lipa.	108
8. Dożynki	121
9. Sadownik	137
10. Len	150
11. Zeschłe liście	163
12. Kolęda	176













2071158

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001001083841